№ 5. Warszawa, dnia 20 Stycznia (1 Lutego) 1879 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

—❧—

(Dalszy ciąg).

Biedny człowiek patrzał smutno w ziemię. Tymczasem wrócił urzędnik bankowy do swego dawnego zatrudnienia, nietroszcząc się wcale o dalsze losy właściciela ziemskiego, któremu dyrekcya bankowa większéj pożyczki użyczyć nie chciała.

A nieszczęśliwy właściciel ziemski stał ciągle jak człowiek, który ma ochotę zamienić się w posąg nieruchomy, gdyby to tylko było rzeczą możliwą... Stał jakby zapomniał drogi którą tu wszedł, jakby drzwi nie widział... Wreszcie owionął go prąd powietrza i wskazał mu drzwi, które w téj chwili otworzyły się przed nim. Jakiś gruby jegomość z brelokami na brzuchu wtoczył się do sali potrącając w drodze nieszczęśliwego człowieka...

Ocuciło to Maryana, wyszedł przez drzwi otwarte. Zeszedł ze schodów i stanął na ulicy. Prąd przechodzących wziął go z sobą. Szedł razem z prądem jakby tam dążył gdzie wszyscy. Minął jedną ulicę i drugą, minął trzecią i czwartą, szedł ciągle z falą która go zewsząd otaczała. Wreszcie stanął nad mostem. Most prowadził przez szerokie ramię Dunaju. Zbliżył się do brzegu, oparł o baryerę i patrzał na wodę, jakby tam kogoś wyczekiwał. Po gładkiéj szybie przesuwały się łodzie, a zdala nadpływał statek parowy, znacząc swój pochód gęstą chmurą dymu.

Biedny właściciel ziemski, w hotelach niemieckich zazwyczaj grafem nazywany i za to niemiłosiernie obdzierany, stał nad brzegiem wody i z widoczną gorączką patrzał na statek parowy jakby od niego spodziewał się tego, czego mu dyrekcya banku odmówiła... Tłum przechodzących potrącał go, nikt na niego nie zważał, nikomu do głowy nie przyszło bliżéj mu się przypatrzeć, w oczy mu zajrzéć, w których ukrywała się właśnie jakaś łza tajemnicza i nieśmiała...

Znalazł się jednak ktoś w tym tłumie obojętnym, który z dala z wielka uwagą patrzał na niego. Ciekawy ten spektator nie spuszczał z niego oka, śledził wszystkie jego ruchy i co chwila nieznacznie przysuwał się coraz więcéj do niego.

Nie widział tego cudzoziemiec. Nie przeczuwał nawet że ktoś w téj chwili dla niego tak smutnéj, jest właśnie nim zajęty. Byłby mu może wdzięczny... albo byłby się może wstydził tego, że czyjąś uwagę w ten sposób zwrócił na siebie...

Życzliwy spektator zbliżył się do niego.

— Przepraszam pana, ozwał się z wielką grzecznością, czy mogę dać panu jakie wyjaśnienie? Pan czekasz prawdopodobnie na statek parowy. Jeżeli tak to radziłbym panu udać się na drugi brzeg, gdzie jest stacya...

Maryan obrócił się i spojrzał na życzliwego człowieka... Obaczył przed sobą, straż bezpieczeństwa.

Ciemny rumieniec wystąpił mu na twarz. Szybko odgadł, co właściwie znaczy ta grzeczność strażnika... Stał on właśnie w miejscu, z którego według odwiecznego zwyczaju każdy prawowity Wiedeńczyk do wody skacze, gdy mu samotne życie na świecie się sprzykrzy, albo gdy rodzina zbyt mu się rozrośnie a ceny mięsa i chleba zanadto w górę idą...

Wzdrygnął się, że strażnik mógł go o coś podobnego posądzić. Mimo to spojrzał wdzięcznem okiem na człowieka, który dbał chociaż z obowiązku tylko o jego życie...

— Dziękuję ci za twoją troskliwość mój przyjacielu, odparł z uśmiechem, ja tylko używałem tutaj pięknego widoku!

— Przepraszam pana, rzekł strażnik i na znak ukłonu przyłożył dwa palce do kasku.

— Lepiéj powiedz mi przyjacielu, gdzie jest *Café Stierböck.*

— To co innego, odparł z wesołym uśmiechem strażnik. *Café Stierböck* jest zaraz za mostem po prawéj ręce. Ceny wołów dzięki Bogu stoją dobrze!

I uśmiechnął się policyant wiedeński, że obowiązek służbowy udało mu się zakończyć zwrotem dowcipnym. Kawiarnia *Stierböck* znana jest jako stanowisko agentów trudniących się sprzedażą wołów opasowych. Słuszne więc było psychologiczne spostrzeżenie strażnika, że kto woły opasowe przywiózł na sprzedaż do Wiednia, ten nie potrzebuje topić się w Dunaju. Wypuściwszy więc podejrzane „subjektum“ z opieki przeszedł strażnik policyjny na drugą stronę mostu, gdzie właśnie jakaś jasnowłosa kuchareczka z koszykiem w ręku podejrzanem okiem wysokość mostu i poziom wody mierzyła...

Tymczasem przeszedł Maryan przez most i zaraz po prawéj ręce ujrzał kawiarnię, o którą pytał policyanta. Wytężonym wzrokiem spojrzał na wystawę, przy któréj kłębił się ruchomy tłum gości i negocyantów... gdy nagle na swojem ramieniu uczuł silną rękę a nad głową usłyszał głos tubalny:

— Jak się masz Maryanie! ho, ho, ho?

I śmiech przeciągły rozległ się po trzech przyległych ulicach, nie mówiąc już nic o moście i wodzie pod mostem.

Maryan obrócił głowę i ujrzał przed sobą olbrzymiego wzrostu człowieka, tuszy nieposledniéj, z łysem mocno opalonem czołem i łokciowymi nadół opuszczonemi wąsami.

— Co tu porabiasz? ryknął znowu olbrzym aż

dwa kapelusze zachwiały się na głowach przechodzących niemców, czy masz woły na sprzedaż?

Twarz Maryana posmutniała.

— Gdzie mi tam woły! odpowiedział z westchnieniem, człowiek kontent że wegietuje.

— Ho, ho, ho! zaśmiał się znowu olbrzym aż się troje dzieci wraz z matką przestraszyło, piękna mi wegetacya w Wiedniu! Kto wegetuje, ten tu nie przyjeżdża! ho, ho, ho! Ja za godzinę z tąd uciekam! ho, ho, ho! Pieniądz dziś drogi! Nie głupim!

Maryan smutno spojrzał w ziemię. Zdawało mu się że dalsza rozmowa z producentem wołów opasowych na nic mu się nie przyda. Właśnie chciał go pożegnać i dalej ruszyć w drogę nieznaną, która się przed nim rozciągała, gdy nagle obaczył na twarzy nadchodzącego człowieka uśmiech tak serdeczny i rozkoszny, jaki tylko może powstać na widok nadchodzącego brata.

— Drogi, kochany Maryanie! zawołał człowiek z uśmiechem, niechże cię uściskam i ucałuję! Jestem nadzwyczaj szczęśliwy, że cię tu taj spotykam kochany kolego i przyjacielu, przecież na jednéj szkolnéj ławie siedzieliśmy razem!... Bardzo, bardzo się z tego cieszę... powiedz tylko czem ci służyć mogę, a będzie to prawdziwą rozkoszą dla mnie...

Jeszcze kilka minut mówił w ten sposób człowiek ze szczerym serdecznym uśmiechem na twarzy, co producenta wołów opasowych widocznie niecierpliwiło. Maryan zato był w siódmém niebie. Obie ręce zarzucił na szyję serdecznego przyjaciela młodych lat, całował go i przyciskał do serca jakby się obaj razem w braci syamskich zamienić chcieli.

Olbrzym splunął głośno z niecierpliwości i jeszcze głośniéj odkrząknął, aby ludziom sobą tak zajętym dać znak o swojéj egzystencyi. Spostrzegł to Maryan, ale na to tylko, aby olbrzyma jak najprędzéj pożegnać.

— Przepraszam cię Krzysztofie, rzekł do niego, ale mam właśnie z moim dawnym kolegą szkolnym kilka słów do pomówienia. Ponieważ za godzinę odjeżdżasz, to nic innego nie pozostaje, jak pożegnać się...

— Jeżeli się prędko sprawisz, to poczekam! odparł pan Krzysztof tubalnym głosem i z ukosa zmierzył słodkiego człowieka z słodszym jeszcze uśmiechem.

— Wątpię... na każdy wypadek żegnam cię!

— Na każdy wypadek będę tu pod latarnią!

I nie czekając wcale odpowiedzi, odszedł pan Krzysztof pod latarnię. Oparł się o żelazny kandelaber i szeroko postawił nogi jak człowiek, który długo na jednem miejscu stać zamyśla.

Tymczasem Maryan wziął przyjaciela szkolnych lat pod rękę i niedbając wcale na producenta wołów opasowych, zwrócił się napowrót do mostu.

Przyjaciel młodych lat był francuzem i jak Maryan z dzienników wiedział, brał nieraz udział w autonomicznem życiu kraju. Osobliwie przy wyborach na posłów występował często na widok publiczny, przemawiał za tym lub owym kandydatem a raz nawet sam osobiście kandytował o krzesło poselskie w jedném z mniejszych miast powiatowych. Nie poszczęściło się jednak śmiałemu kandydatowi, co tak mocno zniechęciło go do życia publicznego w kraju, że do Wiednia się wyniósł, aby tam jak twierdził, być czynnym dla swojéj bliższéj ojczyzny.

— Mój drogi Maryanie, mówił po raz setny do przyjaciela lat młodych, jakże się cieszę... doprawdy słów nie mogę znaleść... po tak długiém niewidzeniu cię... radbym kiedy do ciebie na wieś przyjechać, w sąsiedztwie się twojem trochę rozpatrzyć... możeby nawet udało się coś kupić, w lecie stolica jest nieznośna... zresztą człowiek dąży zawsze do cichéj wioski... Cóż twoja siostra piękna Eliza...

— Zrobiłbyś mi największą przyjemność kochany Lucyanie, powtarzał ciągle Maryan, szczerą nie kłamaną przyjemność.

Przyjaciel Lucyan był niewyczerpany w afektach.

— Jakże ci się tutaj powodzi? pytał przyjaciela Lucyana przyjaciel Maryan.

— Świetnie! odpowiedział przyjaciel Lucyan, nie tak jak w kraju. Tu są interesa na wielką skalę. Wiesz zapewne że udało mi się zostać, agentem nadwornym!

— Agentem nadwornym!

— Mam interesów co niemiara. Za trzy lub pięć lat najdaléj będę mógł godnie odpoczywać!

— Mógłbym ci zazdrościć, gdybym nie był życzliwym twoim przyjacielem!

— Wy hreczkosieje nie macie nawet wyobrażenia jak prędko można tu przyjść do wielkich pieniędzy!

Maryan westchnął.

— Lekko mogę moją kancelaryą ocenić na dwadzieścia tysięcy guldenów czystego, rocznego dochodu, mówił daléj szczęśliwy prawnik.

Maryan milczał chwil kilka. Zdawało się, że odbywa w sobie jakąś walkę. Wreszcie odetchnął pełną piersią i rzekł:

— Być może że opatrzność Boga nasłała cię na moją drogę. Przyznam ci się, że przed chwilą nie miałem żadnego wyjścia przed sobą!

— Proszę cię... w czem mogę ci służyć... mam wpływy...

— Chorych rodziców muszę wysłać.. do Wenecyi!

— Może listów rekomendowanych...

— Podałem do banku o dodatek pożyczki...

— Może przyprowadzić do skutku tę pożyczkę?...

— Właśnie powiedziano mi w banku, że dyrekcya z powodu zbytniego przeciążenia majątku... odmówiła!

— Odmówiła! hm! to źle!

— Czy nie wiedziałbyś na to jakiéj rady?

— Rady... rady?... Jakiéj na to rady! Chyba pożyczki u lichwiarza na pięćdziesiąt procent albo na sto... innéj rady nie ma! Jak cię kocham, nie ma!

— Może mógłbyś mi...

— Lichwiarza mogę ci nastręczyć, ale co to pomoże! Jeżeli jednak chcesz koniecznie...

— O lichwiarzu myślisz?

— Innéj rady nie ma... Przecież tak znaczny mieliście majątek! Przypominam sobie gdyś był w szkołach, przysyłano po ciebie karetę w cztery konie, z liberyą...

Maryan ruszył ramionami.

— Nie wszystko złoto co się świeci! Majątki nasze ziemskie są dzisiaj pobielanemi grobami!...

— Tak... to prawda. Mam tego dowody na mojem stanowisku. Wczoraj zrobiłem interes dla jednego ziomka... dyabelnie słony!...

Przyjaciel Lucyan spojrzał na zegarek.

— Może zabieram ci czas, zapytał Maryan smutno.

— Jestto właśnie godzina w któréj zazwyczaj schodzę się u *Dauna* z sekretarzem ministeryalnym...

— Więc cię żegnam!

— Do zobaczenia. Gdybyś jednak chciał jaki interes zrobić... mój adres.

— Dziękuję ci.

I rozeszli się przyjaciele lat szkolnych. Jeden poszedł na schadzkę do Dauna, drugi... szedł bez celu, szedł prostą drogą, którą miał przed sobą.

Pod latarnią krząknął olbrzym aż dziesięciu niemców się obejrzało.

— Ho, ho, ho! zaśmiał się głosem tubalnym, jużeś skończył sprawę z przyjacielem szkolnym? Przyznam ci się, że ja tych naszych patryotów dzisiejszych który nad Pełtwią głośno krzyczą, a potem dla karyery nad Dunaj się wynoszą, serdecznie nie lubię!

Maryan westchnął.

— Ja mości panie—ciągnął daléj pan Krzysztof, opasowe woły wiozę tylko do Wiednia, ale głowę i serce mam dla kraju! Ho, ho, ho!

— Może masz i słuszność, z cicha odpowiedział Maryan.

— Niechże cię za to uściskam! Chodź, wypijemy razem butelkę węgrzyna!

— Dziękuję ci nie jestem dzisiaj usposobiony do wesołości.

— Cóż tam do kata tak nos na kwintę opuściłeś? Trzeba głowę do góry nosić, aby niemcy naszéj biedy nie widzieli! Ja... przyznam ci się pod sekretem nienajlepiéj wyszedłem na moich wołach, a przecież nie pokazuję tego po sobie! Odbiję to innym razem!

— Przywiozłem chorego ojca dla porady lekarskiéj a tu każą mu do Wenecyi jechać!

— Do Wenecyi?... Wymysły pańskie, nic więcéj!

— Tak powiedział sławny lekarz.

— Aby polski pieniądz z kraju wyszedł!

— Gdybyś był synem a lekarz ojca zaordynował...

Pan Krzysztof uderzył się w czoło aż stara przechodząca babulka z przestrachu krzyknęła i zawołał:

— Masz słuszność! W takim razie trudna rada!

— Najtrudniejsza, że mi bank spodziewanéj pożyczki odmówił!

— Lichwiarze! Myślą, że taniéj nas zjedzą!

— Jestem prawie w rozpaczy!

— Co? W rozpaczy?... I to może widział ten niemiec za marmurowym stolikiem?

— Czy widział, nie wiem, ale mógł się domyślić!

Pan Krzysztof uderzył szeroką dłonią w kolano i zamyślił się. Po chwili odkrząknął aż echo nad Dunajem odpowiedziało i rzekł do towarzysza:

— Wiesz co, zaprowadź mnie do banku!

— Czy znasz tam kogo? ciekawie zapytał Maryan.

— Nie pytaj, tylko prowadź!

Rzekłszy to wziął pan Krzysztof Maryana pod rękę i obaj zwrócili się ku mostowi.

Maryan szedł mimowoli bo prowadząca go siła przewyższała o wiele jego siły. Nie umiał sobie wytłomaczyć, w jakim celu pan Krzysztof szedł z nim do banku. Różne myśli przychodziły mu do głowy. Myślał że pan Krzysztof ma tam znajomych, że ma wpływy, które dla niego były zagadką. A pan Krzysztof nie miał wcale ochoty wyjaśnić mu téj zagadki. Na kilka zapytań wcale nie odpowiedział, jakby ich nie słyszał. Mruczał coś pod nosem, jakby z sobą prowadził monolog. Za każdym krokiem stawał się głośniejszym ten monolog, coraz wyraźniéj wylatywały z szerokich ust jego pojedyncze słowa i zdania ale, po niemiecku! A niemieczczyzna ta była okropna!

— *Nicht Menschen...Dieber....berauben die polnischen Güter... Creditbank lumpig Kulturkamf!...* mruczał pod nosem pan Krzysztof machając jedną ręką w powietrzu jak kaznodzieja na odpuście.

Maryan chwytał uchem te pojedyncze wyrazy, ale nie mógł z tego nic złożyć. Ani nawet na myśl mu nie przyszło, że towarzysz jego odbywał właśnie

przedwstępną egzercycyą w języku niemieckim, jakim miał za chwilę przemawiać do urzędnika banku, który na polski majątek nie chciał dać większéj pożyczki.

Wreszcie stanęli przed bankiem.

— Chodź, krzyknął do ucha Maryanowi pan Krzysztof, chodź a tylko ostro. Pieniądze na drogę będą, za to ci ręczę! Tylko ostro i śmiało!

— Nie wiem co chcesz zrobić? zapytał Maryan zaniepokojony wyzywającą postawą towarzysza.

— Nic nie pytaj, tylko chodź! Czy mi nie ufasz?

— Powiedz mi tylko...

— Tam będę mówił! Usłyszysz!

Maryan sam nie wiedział jakim sposobem przebył szerokie schody marmurowe, jakim sposobem otworzyły się przed nimi jedne i drugie drzwi i dopiero wtedy przyszedł do przytomności, gdy ujrzał przed sobą tego samego urzędnika, z którym niedawno rozmawiał.

— *Warum nicht Geld geben*, krzyknął tubalnym głosem pan Krzysztof aż urzędnik zbladł na twarzy, *polnische Güter verkaufen um halben Preis*, panie dobrodzieju. *Kulturkampf... Dieberei...*

Maryan osłupiał z przerażenia, bo pan Krzysztof złożył teraz kościste palce swoje jak pięć olbrzymich noży, z czego utworzyła się pięść podolska, jakiéj nigdy nie widział naddunajski bank kredytowy.

Więcéj jeszcze osłupiał urzędnik bankowy, bo jakkolwiek z urywanych słów pana Krzysztofa nic nie mógł zrozumieć, z giestów jednak jego wnosił, że nienajlepsze ma względem niego zamiary.

Odsunąwszy się w tył jak tylko mógł najdaléj, zapytał Maryana w wyrazach bardzo grzecznych, czego właściwie chce jego towarzysz.

Maryan nie umiał na prędce mu odpowiedzieć, bo sam nie wiedział, a tymczasem zwrócił się pan Krzysztof do niego i niezadowolony widocznie ze swojéj niemczyzny zawołał wskazując ręką na wystraszonego urzędnika:

— Powiedz mu, że na polski majątek nie ma ceny! Gniazdo rodzinne mości dobrodzieju to nie same morgi pola i lasu! To mości dobrodzieju dzieje nasze i tradycye, to wspomnienia ojców naszych, którzy Wiedeń od bisurmanów ocalili, a bez których nie byłoby dzisiaj ani państwa tego ani banku kredytowego!... Powiedz mu to wszystko, niech to weźmie na uwagę i pożyczkę podwyższy a tymczasem na pierwsze wydatki wyliczę ci w jego oczach na tym marmurowym stole parę tysięcy... Głupi niemiec! Majątek przeceniony!...

Pan Krzysztof dobył tu gruby pugilares i zaczął wyrzucać z niego banknoty na stół marmurowy.

Dla urzędnika było to wszystko istną zagadką. Maryan nie mógł mu tego, co pan Krzysztof nagadał na niemieckie przetłomaczyć, a zresztą sam pan Krzysztof nie żądał nawet tego w téj chwili, bo zrobiwszy folgę swemu sercu zdawał się tem zupełnie zadowolonym. Czy urzędnik go zrozumiał czy nie wcale mu o to nie chodziło. Zrobił swoje, powiedział mu w oczy co miał na sercu i na tem poprzestał.

A wszystko to zrobiło się tak nagle i tak szybko, że nim urzędnik do siebie przyszedł i o stosownych środkach osobistego swego bezpieczeństwa pomyślał, zebrał pan Krzysztof odliczone banknoty z marmurowego stołu, wcisnął je w zanadrze towarzyszowi i z uśmiechem tryumfu razem z nim z sali się oddalił.

— W dziwaczny sposób zaopatrzyłeś mnie w pieniądze, rzekł w sieni do niego Maryan, pozwól więc...

— Nie nie pozwolę i basta, przerwał mu pan Krzysztof, trzymaj dobrze pieniądze, bo ci wypadną! Dosyć i tak polskiego grosza sieje się za granicą!...

— Jeżeli w krytycznem położeniu mojem tak szlachetnie mnie ratujesz...

— Daj pokój sentymentom a pieniądze trzymaj dobrze i oszczędzaj, bo się cudzoziemcy śmieją z naszéj rozrzutności! Ja wolę na ulicy dać guldena ubogiemu, ale w hotelu targuję się do upadłego!

— Pozwól że ci skrypt dam...

— Daj rękę i basta!... Czy pani Eliza także do Wenecyi pojedzie?

— Eliza... pojedzie z rodzicami, bo któżby miał tam o nich staranie?

— Zacna, poczciwa kobieta! Niech jéj to Bóg wynagrodzi!... Kłaniaj się jéj ode mnie!

— Może pójdziesz ze mną...

Pan Krzysztof pomyślał chwilę.

— Nie, nie! odparł żywo, teraz nie. Może później... może... w Wenecyi się kiedy obaczymy! Szkoda że tam nie ma targu na podolskie woły! ho, ho, ho!

I zaśmiał się serdecznie ze swego konceptu pan Krzysztof i uściskał serdecznie Maryana, który literalnie znikł w jego objęciach.

— Ale na drogę jeszcze coś ci powiem, ozwał się po chwili pan Krzysztof nachylając się do ucha Maryana: nic nie mów pannie Elizie że ode mnie masz pieniądze! To potrzebne mi... do dalszych moich interesów. Rozumiesz?

Rzekłszy to ucałował Maryana, przypomniał mu jeszcze raz aby banknotów nie zgubił i wybiegł na ulicę.

Za kilka chwil stał Maryan pośród uszczęśliwionéj rodziny, która miała już fundusz potrzebny do podróży. Nie pytano go wcale zkąd dostał pieniędzy.

— Jutro trzeba wyjechać, rzekł w końcu Maryan bo każdy dzień jest drogi... dla kuracyi.

— Czy ty z nami nie pojedziesz? zapytał ojciec.

— Sądzę że nie jestem potrzebny, odpowiedział po chwili namysłu Maryan, Eliza sama da sobie radę.

Eliza rzuciła się bratu na szyję. Oczy jéj tryskały płomieniem radości.

— Niech ci Bóg to wynagrodzi drogi bracie, mówiła do niego śród uścisków, i jestem tego pewna że się to stanie. W Wenecyi wyszukam dla ciebie... żonę, jakiéj w kraju nigdybyś nie znalazł!

Maryan roześmiał się i odrzekł:

— A ja wynajdę ci w kraju męża, jakiego w Wenecyi nigdy nie znajdziesz!

Z ironicznym uśmiechem spojrzała na brata Eliza. W uśmiechu tym przebijała się wiara w siły własne, w tak zwaną samopomoc. Za dobre chęci podziękowała bratu uściskiem podczas gdy w czarnych oczach zaiskrzyło się jakieś rozkoszne marzenie o przyszłości!...

(d. c. n.)

Myśliwiec Alpejski.

(Z F. Schillera).

Nie chcesz twojéj strzedz owieczki?
Ona miła i wesoła.
Pląsa w trawce koło rzeczki,
Skubiąc wonne kwiaty, zioła.
„Puść mię, matko, tam na łowy,
W przepaściste gór parowy!“

Patrz, jak trzoda skacze, biega;
Nie chcesz zagrać jéj na rogu?
Miło odgłos się rozlega
Dzwonków trzody po rozłogu.
„Matko! matko, jestem śmiały,
Pójdę bujać tam na skały!“

Czyż nie wabią cię kwiateczki,
Co się wdzięczą w swéj urodzie?
W wieńce stroją nam grządeczki;
Tam jest dziko w gór ogrodzie!
„Niech się kwiatów lśnią purpury;
Matko, matko! pójdę w góry!“

Młodzian pełen upojenia
Z łukiem chyżo gnał na łowy,
Bez spoczynku i wytchnienia
Coś go parło w gór parowy.
Nagle ziemia się wstrząsnęła
I kozica *) drżąc przemknęła.

W rączym biegu tylko błyska,
Zwinnie rzuca swoje ciało
Nad przepaści i urwiska;
Równo z wiatrem pędzi śmiało,
Ale za nią w ślad na skały
Bieży z łukiem młodzian śmiały.

Wtém na skrajnym skały stoku
Zawiesza się na kończynie,
Gdzie ślad drogi niknie oku,
Gdzie spadzistość szczytów ginie,
Przed nią przepaść, głębia sroga,
Blizko za nią widać wroga.

Łzawe nieme oczy wznosi,
Zmierza strzelca—zasępiona,
Lecz daremnie błaga, prosi,
Już cięciwa wyprężona;
Nagle pośród skał ze szpary
Duch się zjawił, stróż gór stary.

Biorąc zwierzę w ręce swoje,
Czule w jego rzekł obronie:
Czemu trwożysz miejsce moje,
Niosąc śmierć aż w to ustronie?
Świat dla wszystkich—jest tak wielki;
Na cóż gładzisz me gazelki?

Józef Chmielewski.

KONSTANTYNOPOL.

(Wyjątki z dzieła pod tymże tytułem przez Edmonda de Amicis).

PRZEZ

Joannę Belejowską.

(Dalszy ciąg).

Lady Montegue przesadza utrzymując że Turczynki mają większą swobodę i wolność niż Europejki; ale niedługo po przybyciu do Konstantynopola każdy cudzoziemiec przekonywa się że rzeczywiście bynajmniéj nie są pozbawione wolności i śmiać się musi słysząc rozprawrających o ich „niewoli.“ Dama pragnąca wyjeżdżać, daje rozkaz eunuchom aby powóz zajechał nie prosząc nikogo o pozwolenie, i może bawić jak długo jéj się podoba, byle wróciła

*) Gazella.

przed zapadnięciem nocy. Dawniéj nie mogły wychodzić bez eunuchów, niewolnicy, lub jakiéj przyjaciółki, a już najśmielsze przynajmniéj dziecko brały z sobą dla wzbudzenia poszanowania; jeźli która szła sama jakąś uboczną ulicą, nieraz strażnik miejski lub rygorysta stary Turek zatrzymywał ją pytając: ;,Gdzie i zkąd idziesz? dla czego nikt ci nie towarzyszy? tak to szanujesz twego *Ejfendi'ego*? Wracaj zaraz do domu!" Ale dziś setki ich chodzi same, i o każdéj dnia godzinie można je spotykać na ulicach i przedmieściach tak muzułmańskich jak i miasta europejskiego. Chodzą odwiedzać przyjaciółki z jednego na drugi koniec Stambułu, po pół dnia spędzają w domach gdzie urządzone kąpiele, odbywają przejażdżki łodziami: we czwartek do Słodkich-Wód europejskich, w niedzielę do Słodkich Wód azyatyckich, w piątek na cmentarz w Skutari, w inne dni do Wysp Książęcych, do Terapija Buyuklere, Kalenderu, gdzie wieczerzają ze swemi niewolnicami, w gromadce po ośm do dziesięciu; chodzą modlić się na grobach padiszachów i sułtanek; oglądać zakony derwiszów; zwiedzać publiczne wystawy wypraw ślubnych i ani cień mężczyzny nietylko im nie towarzyszy, ale nie odważyłby się najlżejszéj zrobić im uwagi. Nikt nigdy nie widział na ulicach Konstantynopola mężczyzny nie już pod rękę prowadzącego kobietę, ale idącego obok niéj lub choćby tylko zatrzymującego się chwilkę aby pomówić z „zasłoniętą" choćby mieli wypisane na czole wielkiemi literami że to mąż i żona, gdyż uważanoby to za coś niesłychanego, za największą nieprzyzwoitość. Pod tym względem są one rzeczywiście swobodniejsze od kobiet europejskich i trudno wyobrazić sobie z jakim zapałem korzystają z téj wolności, jak zapamiętale gonią za wrzawą, za tłumem, światłem i powietrzem, te Turczynki które w domu widują jednego tylko mężczyznę, których okna i ogrody podobne są do klasztorów. Biegają po mieście z radością wyzwolonych więźni, i można się zabawić śledząc którąś z odległości, widząc jak wyrafinowanie używają rozkoszy włóczęgostwa. To wstąpią pomodlić się w meczecie; to zatrzymują się pod arkadami dziedzińca aby pogadać z przyjaciółką; to wstępują do bazaru, gdzie przetrząsną kilka sklepów zanim kupią jakąś drobnostkę; potem wsiadają do *tramvay'u*, wysiadają przy targu rybnym, mijają most, przypatrują się różnym wystawom sklepowym w Pera. To znów wchodzą na cmentarz i jedzą cukierki na grobach, wracają do miasta i przyglądają się wszystkiemu: rycinom, anonsom, przechodzącym damom, powozom, szyldom, tu kupią bukiet, tam wypijają szklankę limoniady, dadzą jałmużnę biednemu i wracając kaikiem przez Złoty-Róg, znowu rozpoczynają wędrówkę po Stambule. Miałby się zpyszna otyły Turek pragnący śledzić sam żonę, dla przekonania się czy nie ma jakich tajemnych celów — w połowie drogi ustałby zziajany.

Kto chce dobrze przypatrzéć się Turczynkom, niech w dzień wielkiéj jakiéj uroczystości uda się do Słodkich Wód europejskich. po za Złotym Rogiem, lub do Słodkich Wód azyatyckich, około wioski Anadoli-Hissar. Są to dwa wielkie ogrody publiczne, w których wznoszą się gęste cieniste gaje, przepływają dwie rzeczki i mieszczą liczne fontanny i kawiarnie. Tam na rozległéj murawą pokrytéj płaszczyźnie, w cieniu drzew orzechowych, terebintów, platanów, sykomorów, tworzących nieprzerwany ciąg zielonych pawilonów, przez które nie mogą się przedrzéć promienie słoneczne, spotyka się tysiące Turczynek, siedzących dokoła gromadkami, otoczonych niewolnicami, eunuchami i dziećmi, które jedzą i bawią się wesoło przez całe pół dnia. Przyszedłszy tam, zdaje nam się że patrzymy na jakąś uroczystość w raju Mahometa. Tysiące białych zasłon i *feredżij* szkarłatnych, żółtych, zielonych, szarych, niezliczone gromady niewolnic przybranych w najróżnorodniejsze barwy; mrowisko dzieci ustrojonych jak maski; słudzy z muzułmańskich kawiarni, przybrani w galowe szaty i roznoszący owoce i lody; tańczący cyganie, śpiewający Bulgarscy pasterze, paszowie, bejowie, młodzież galopująca konno nad brzegami rzeki, ruch tłumów i powozów; pomieszane dźwięki śpiewów, fletów, fujarek, bębnów, krzyki dzieci, wszystko to połączone razem tworzy obraz tak nowy i nieznany, iż musi oszołomiéć każdego kto go pierwszy raz widzi.

A jednak pomimo natłoku i tu rzadko bardzo uda się dostrzedz Turka i Turczynkę zamieniających z sobą miłośne spojrzenia, uśmiechy lub znaki porozumienia. Tu wszystko odbywa się we wnętrzu domów, i tylko narzeczonym wolno stawać np. pod zakratowanem oknem, za którem można dostrzedz czarne oczy lub maleńką rączkę; rozmawiać zdala za pomocą kwiatów, wstążki, koloru sukni lub szarfy. Pod tym względem Turczynki są niezrównane w pomysłach; mogą prowadzić długie rozmowy zapośrednictwem najrozmaitszych przedmiotów, owoców, kwiatów, piór, kamieni, z których każdy ma odmienne znaczenie, obejmujące nietylko pojedyncze przymiotniki lub słowa, ale nawet całe frazesy, tak więc bukiet np. może zastąpić sonet lub list romansowy, czynić wyrzuty, dawać radę lub przestrogę, udzielić jakiejś wiadomości i t. p. Młode dziewczęta uczą się starannie tego symbolicznego słownika, który jednak już wychodzi z użycia; Turcy wstydziliby się mówić o tem, poznany został jedynie dzięki zwierzeniom naiwnych *hanum*, uczynionych przyjaciółkom chrześciankom.

Domowe ubrania bogatych kobiet są piękne i nadzwyczaj kosztowne, ale także podlegają kaprysom mody. Nie mając nic do roboty, Turczynki wymyślają coraz nowe stroje lub dodatki do nich; przyswajają sobie coś ze wszystkich ubiorów wschodnich i europejskich, i gdyby tak kiedy podczas zebrania u Wód słodkich, można za pomocą czarnoksięzkiéj laseczki, zrucić z Turczynek zasłony i *feredzije*, zobaczylibyśmy jedne ubrane jak królowe azyatyckie, inne jak wielkie panie w balowym stroju, jak wystrojone kupcowe, wiwandierki, amazonki, Greczynki, Cyganki i t. p. słowem taką różnorodność ubiorów, ile różnorodnych narodowości spotykamy na moście.

Apartamenta w których przebywają piękne i bogate muzułmanki, odpowiadają ich uroczemu i dziwacznemu strojowi. Kobiece pokoje są po większéj części dobrze położone, z prześlicznym widokiem na wieś lub na morze i znaczną część Konstantynopola; dołem ogródek otoczony wysokiemi murami, pokrytemi bluszczem i jaśminem, w górze taras. Od strony ulicy rodzaj wystającego oszklonego balkonu, nakształt hiszpańskich *miraderes*. Pokoje są zazwyczaj niewielkie, posadzki zasłane chińskiemi matami i kobiercami, na obiciu pomalowane kwiaty i owoce. Pod ścianami stoją szerokie ottomanki, w środku pokoju wznosi się marmurowa fontanna, w oknach wazony z kwiatami, a wszystko to oświetlone tém łagodném i niepewném światłem, właściwém domom wschodnim, nakazującém aby chodzić na paluszkach, mówić przyciszonym głosem, słodkiemi słowami i rozmawiać tylko albo o Bogu albo o miłości.

Urządzenie większéj części haremów odznacza się prostotą i prawie surową powagą, ale są i wspaniałe których ściany pokrywa atłas biały w złote arabeski, w oprawie z cedrowego drzewa; kraty są złocone, meble bardzo kosztowne. Meble te dozwalają odgadywać sposób życia. Widzimy tu tylko taborety, małe i duże ottomanki (sofy) kobierce, małe ławeczki, poduszki wszelkich rozmiarów i form i materace pokryte kaszmirem i kosztownemi brokatellami, słowem całe urządzenie tchnie rozpieszczeniem i zniewieściałością i zdaje się mówić: „Połóż się wygodnie, siadaj, rozpieraj, kochaj, śpij i marz." Pełno jest porozrzucanych ręcznych zwierciadełek i wielkich wachlarzy ze strusich piór, cyzelowanych cybuchów wiszących na ścianach, klatek z ptakami; kadzielnic porozstawianych po całym pokoju; zegarów grających; najróżnorodniejszych cacek i drobiazgów, zdradzających zachciewki i rozgrymaszenie znudzonéj kobiety. W niektórych pałacach zbytek nie ogranicza się tylko do rzeczy bijących w oczy; miewają w nich całe zastawy stołowe złote lub srebrne wyzłacane, złote wazony w których stoją pachnące wody; serwety atłasowe oszyte złotą frendzlą; kosztowne półmiski, talerze, filiżanki do kawy, amfory, fajki, wachlarze wysadzane drogiemi kamieniami; ale łatwo pojąć że największa część domów jest niemal zupełnie wiernem odtworzeniem dawnych namiotów lub chat tatarskich, których całe urządzenie jeden muł mógłby unieść, w których wszystko zdaje się być gotowe do nowéj wędrówki do Azyi; są to domy czysto muzułmańskie, surowe i poważne, w których gdy wybije godzina odjazdu, odezwie się spokojny głos ich panów, j. dném słowem: „Olsun!" Niech się stanie!

Jak wiadomo dom turecki dzieli się na dwie części: harem i *Selamlik* przeznaczony dla mężczyzn. W Selamliku pan domu pracuje, obiaduje, przyjmuje przyjaciół, spoczywa po obiedzie a nawet i w nocy, jeźli nie idzie do haremu. Tu kobieta nie wchodzi nigdy; w Selamliku mąż, w haremie ona jest panią, rządzi, rozkazuje, wolno jéj tam wszystko z wyjątkiem przyjmowania mężczyzn. Zazwyczaj jedne tylko drzwi i mały korytarz oddzielają Selamlik od haremu, a jednak stanowią one jakby dwa oddzielne i odległe domy. Mężczyźni odwiedzają *effendi'ego*, kobiety *Hanum* nie widząc i nie słysząc się wzajemnie. Służba i kuchnia także jest oddzielna; mąż rzadko obiaduje z żoną, szczególniéj jeźli ma więcéj jak jedną. Słowem nie mają z sobą nic wspólnego, wyjąwszy ottomanki na któréj siadają razem. Nigdy prawie mężczyzna nie wchodzi do haremu jako mąż, to jest jako towarzysz kobiety i wspólnie wychowujący dzieci — przychodzi tylko jak kochanek. Wchodząc stara się zostawić po za progiem wszelkie poważniejsze myśli mogące zakłócić jego uciechy, słowem całą tę część swojéj istoty nie mającą nic wspólnego ze zmysłowością. Idzie do haremu aby zapomniéć o codziennych kłopotach i troskach, a przynajmniéj aby je zagłuszyć, a nie zaś aby się z nimi zwierzyć; żądać zdrowéj rady od istoty rozumnéj, pociechy od kochającego serca. Takiemu zadaniu Turczynki nie umiałyby odpowiedziéć. Mąż nie troszczy się także bynajmniéj aby stanął przed żoną otoczony aureolą sławy, rozumu, nauki, powagi, cnót czyniących go godniejszym jéj miłości — a to na co? nie potrzebuje się o to starać, bo jako pan i bożyszcze świątyni, powinien być adorowany, a za to już samo że raczył ją wybrać, kobieta powinna otoczyć go miłością i pieszczotami. I dla tego to nie ma między nimi prawdziwéj ufności i zażyłości, gdyż nie dopuszcza jéj zmysłowość pokrywająca zasłoną głąb duszy, który tylko długie zgodne pożycie poznać dozwala. Daléj, kobieta oczekująca każdéj chwili przybycia swego męża, pana' myśli tylko jak się ustroić, jaką ułożyć minę i pozę aby zakasować rywalki i nie stracić łask jego, musi przez to odgrywać zawsze rolę jakby kurtyzanki, i choćby była najsmutniejsza, śmiać się i weselić aby go nie znudzić i nie odstręczyć. To też mąż nie zna nigdy

kobiety jako żony, zarówno jak nie zna jéj jako siostry, córki, przyjaciółki a nawet jako matki. I dla tego to zacierają się w sercach kobiet wszelkie szlachetne przymioty, których nie mają sposobności rozwinąć i których nikt nie żąda od nich i ocenić by nie umiał. To też dobrowolnie zagłuszają w sobie głos serca i głos rozumu, szukając, jeźli już nie szczęścia, to przynajmniéj jakiegoś jednotonnego spokoju, w bezmyślném, zwierzęcem życiu. Nie mają nawet także wielkiéj pociechy z dzieci, gdyż choć mąż niby pieści je nieraz w ich obecności, rozkosz tę zatruwa myśl że może przed chwilą albo w godzinę późniéj, pieścił tak samo lub pieścić będzie dzieci innéj kobiety.

Warunki życia małżonków zmieniają się odpowiednio do pieniężnych zasobów męża. Bogaty, zarówno umysłem jak mieszkaniem oddzielony jest od żony, ponieważ jest w możności dać jéj oddzielny apartament, a często nawet oddzielny dom dla niéj saméj, gdyż przyjmując dużo gości, przyjaciół, pochlebców, klientów, musi miéć osobne mieszkanie aby ktoś nie zobaczył jego żon. Turek mniéj zamożny, ze względów oszczędności, częściéj widuje i poufaléj przestaje z żoną. Nareszcie ubogi, zmuszony mieszkać jak najtaniéj i mieścić się w jak najszczupléjszéj przestrzeni, mieszka i jada razem z żoną i spędza z nią i z dziećmi wszystkie wolne chwile. Bogactwo dzieli, ubóstwo jednoczy. Nie ma wielkiéj różnicy w sposobie życia biednych rodzin chrześciańskich a muzułmańskich. Kobieta którą nie stać na niewolnicę, pracuje sama, a praca ta podnosi ją i uzacnia. Nie raz się zdarza iż próżnującego męża przychodzi z kawiarni zabrać do domu, a czasem i pantofelki bywają w robocie. Żyją z sobą na stopie zupełnéj równości, wieczory spędzają razem przed drzwiami domu. W odległych, mniéj zaludnionych dzielnicach, nieraz razem wychodzą za sprawunkami domowemi i często można spotkać na samotnych cmentarzach męża, żonę i dzieci, spożywających wieczerzę na grobie jakiegoś krewnego. Widok taki w Turcyi zadziwia i wzrusza. Patrząc na takie małżeństwo niepodobna nie uznać, że tylko taki związek zarazem dusz i ciał, takie połączenie uczuć, jest zawsze, wszędzie i wiecznie pięknem i szlachetném, że jedna nuta więcéj psuje i niweczy tę doskonałą harmonią; że cokolwiek może ktoś mówić i dowodzić, tu leży główna siła, niezbędny żywioł, węgielny kamień dobrze uorganizowanego społeczeństwa; że wszelka inna kombinacya skutków i interesów jest przeciwną naturze; że taka jedynie rodzina jest rodziną a wszelka inna tylko gromadą, że taki jedynie dom jest domem rodzinnym, inny zaś tylko domem rozwiązłości.

Niektórzy podróżnicy utrzymują że kobiety Wschodu są zadowolnione z wielożeństwa i nie rozumieją nawet jego szkarady -- tylko zupełnie nie znający, nietylko Wschodu, ale nawet duszy ludzkiéj, mogą tak twierdzić. Nie ma dziewczyny tureckiéj któraby idąc za mąż nie żądała od swego przyszłego aby jéj przyrzekł, iż póki ona żyć będzie nie pojmie innéj żony, a ileż to wraca do rodziny gdy mąż nie dotrzyma tego warunku. Niedarmo przysłowie tureckie mówi: „Dom gdzie jest cztery żony, to łódź na burzliwém morzu.“ Muzułmanka, nawet ubóstwiana przez męża, musi złorzeczyć wielożeństwu, skutkiem którego czuje zawsze zawieszony nad sobą jakby miecz Damoklesa, że lada dzień może miéć rywalkę — i to nie daleką i zawsze występną jak rywalka Europejki — ale w jednym z nią domu, na zupełnie równych jéj prawach; że rywalką tą może stać się jedna z jéj niewolnic, która wyniesiona na stopień odaliski, dumnie podniesie głowę i traktować ją będzie jak równą sobie; że dzieci jéj jednakie prawa posiadać będą. I czyż podobna aby serce kobiety nie czuło niesłuszności takiego prawa?

Wprawdzie kobieta turecka posiada za to wiele przywilejów uświęconych prawem i zwyczajem; jest w ogóle szanowana, wszyscy traktują ją z rycerską grzecznością; nikt z mężczyzn nie śmiałby podnieść na nią ręki na ulicy, i nawet podczas tłumnych zamieszek, żaden żołnierz nie odważyłby się obejść grubiańsko z kobietą, choćby należącą do ulicznego motłochu. Mąż obchodzi się z żoną prawie z ceremonialną grzecznością; matkę otacza szczególniejszém poszanowaniem, i żaden mężczyzna nie śmiałby kazać kobiecie pracować na swoją korzyść. Daléj mąż musi uposażyć żonę, która wnosi mu tylko w dom wyprawę i kilka niewolnic. W razie rozłączenia czy rozwodu, mąż zniewolony jest zapewnić żonie dostateczne utrzymanie — i to także bardzo się przyczynia że stara się obchodzić z nią jak najlepiéj, żeby nie zażądała separacyi. Nadzwyczaj łatwe rozwody zaradzają smutnym następstwom małżeństw zawieranych na ślepo, z powodu że najczęściéj obie strony prawie się nie znają. Kobieta bardzo łatwo dostanie rozwód, dość żeby mąż raz jeden źle się z nią obszedł, mówił o niéj źle przed kimś, lub zaniedbał jéj czas jakiś. Jeźli ma powód skargi na męża, może ją napisać i przedstawić sądowi, a nawet osobiście udać do samego wielkiego wezyra, który zawsze przyjmie ją niezwłocznie i wysłucha dobrotliwie. Jeźli nie może się zgodzić z innemi żonami, mąż obowiązany jest dać jéj dom oddzielny, a nawet i bez tego, mąż na proste żądanie winien jéj dać osobne mieszkanie. Niewolno mężczyźnie zaślubić któréjś z niewolnic sprowadzonych przez żonę z rodzicielskiego domu, ani zrobić z niéj odaliski. Starych kawalerów i starych panien prawie nie ma w Turcyi; nie tak wiele także, jak utrzymują, jest małżeństw zawieranych z przymusu, gdyż prawo naznacza kary na dopuszczających go się ojców.

Wdowom bez majątku i bez krewnych rząd wyznacza pensye, a sieroty wychowuje. Małe dziewczęta tułające się po ulicy, bywają brane na wychowanie przez bogate damy, które je wychowują i wydają za mąż. Rzadko się zdarza aby kobieta zostawała w nędzy.

Z tego cośmy powiedzieli wyżej, łatwo wyobrazić sobie czém są Turczynki. Co najwięcéj umieją czytać i pisać, ale nigdy nic nie czytają i nie piszą. Te które odebrały choćby cień jakiegoś ukształcenia, uważane są za istne cuda. Turcy w ogóle bynajmniéj nie pragną aby kobiety kształciły swój umysł, bo nie wypada aby im dorównywały a cóż dopiero przewyższały ich w czémkolwiek. Tak więc nie ucząc się ani z książek ani z rozmowy z mężczyznami, pozostają zupełnie nieokrzesane. Skutkiem tak zupełnego rozdziału obu płci, mężczyznom brak ogłady, kobietom podniosłości pojęć. Do końca życia zachowują jakąś dziecinność w wychodzeniu i w umyśle niepohamowaną ciekawość, dziwią się byle czemu, lubią plotki i komeraże, unoszą się o lada co, śmieją choć nie ma z czego i całe godziny zdolne są bawić się jakąś dziecinną zabawką lub gonić po pokojach i wydzierać sobie z ust cukierki. Lecz znowu są to charaktery bardzo łatwe do poznania, nie potrafią się przedstąwiać innemi niż są, naturalne, a często miłe i łagodne — jeźli im, jak to mówią, nic w drogę nie wchodzi, lecz skutkiem braku ukształcenia pozbawione wznioślejszych dążeń duchowych i jeźli ogarnie je nizka jaka namiętność, posuwają ją do ostatecznych granic. Nadto próżniactwo wyradza w nich najszaleńsze zachciewki, które jaką bądź ceną pragną zadowolnić. Niedość na tém, z powodu ciągłego przestawania z kobietami nizkiego urodzenia i bez wychowania, oraz braku towarzystwa męzkiego, które służyłoby im za hamulec, uczą się i nawykają nad - zwyczaj do trywialnego wysłowienia. Nie znają żadnych odcieni w wyrażeniach, używają słów które powinnyby wywołać rumieniec wstydu na ich lica, lubią nieprzyzwoite żarty i ordynarne dwuznaczniki. Im więcéj i częściéj przestają z kobietami europejskiemi, tém większa wyradza się w nich jakaś gorycz, niezadowolnienie ze swego losu i chęć buntu i pomszczenia się za ucisk społeczny jakiemu podlegają.

Wielu bardzo podróżników rozpisywało się o potulności i uległości Turczynek. Nie można przecież powiedzieć tego o wszystkich; są i między niemi ogniste temperamenta, charaktery dumne i śmiałe. Od lat kilku kobiety przewodniczą często w zaburzeniach; uzbrajają się, zgromadzają, zatrzymują powozy wezyrów orzucając ich złorzeczeniem i zniewagami, rzucają kamieniami i stawiają opór sile. Obchodzą się dobrze z niewolnicami, jeźli te nie dają im powodu do zazdrości; zawierają między sobą przyjaźń stałą i tkliwą, i wtedy ubierają się jednakowo, noszą jedne kolory, pocieszając się wzajemnie, zwłaszcza jeźli jedne dotykają je smutki.

Największym wrogiem Turczynek są nudy, wynik próżniactwa i czczości ich życia — do czegóż to nie uciekają się aby je odegnać.

Spokój panuje w haremach w których jedna jest tylko żona kochana przez męża, który nie patrzy na niewolnice i nie ma intryg po za domem, albo jeszcze w takich w których, choć jest więcéj kobiet, ale z płochém i zimném usposobieniem, obojętnych dla męża który także nie robi między niemi różnicy i z kolei obdarza je swemi względami. Takie kobieciny myślą tylko o tém aby od swégo *effendi'ego* wyzyskać jak najwięcéj pieniędzy, nazywają się siostrami i żyją w dobréj zgodzie. Ale jakże burzliwém jest życie w haremach obejmujących kobiety dumne i ognistego temperamentu, nie zdolne przenieść tryumfu rywalki, opuszczenia lub wywyższenia dzieci innéj, kosztem jéj własnych. W takich, to piekło na ziemi. Tam nieustanny płacz, kłótnie i gniewy, tam tłuką porcelany i kryształy, dokuczają niewolnicom, knują spiski, zamyślają o zbrodniach i często ich się dopuszczają, trują, sztyletują, obryzgują twarz witriolem, tam życie jest jednym nieprzerwanym ciągiem prześladowań, głuchéj, zaciętéj walki i nieubłaganéj nienawiści.

Oprócz powyższych są jeszcze dwa rodzaje haremów: Turków młodych, otrząśniętych z zastarzałych przesądów, popierających europejskie dążności swych żon, i Turków rygorystów, którzy czy to z własnego przekonania czy ulegając rodzicom, a szczególniéj starym matkom, zaciętym muzułmankom, nieprzyjaciołkom wszelkich nowości urządzają się według ich zasad.

Harem pierwszego podobny jest do mieszkania damy europejskiéj; jest w nim fortepian i nauczycielka chrześcianka uczy *hanum* grać na nim; są stoliczki do robót, małe wyplatane krzesełka, szeslong, biureczko; na ścianie portret pana domu, nakreślony ołówkiem przez malarza z Pera; w rogu pokoju mała biblioteczka złożona z kilkudziesięciu tomów, a wśród nich mieści się słownik turecko-francuzki i ostatni numer jakiegoś paryzkiego dziennika Mód, którego pożycza *hanum* któraś z pań europejskich. Pani domu uczyła się i maluje akwarellą kwiaty i owoce i upewnia swe przyjaciółki że nie zna co to nudy. O pewnéj godzinie przychodz nauczyciel dla wprawy w rozmowę w jezyku francuzkim (ma się rozumiéć stary i brzydki); niekiedy Niemka fotografistka przychodzi zrobić fotografią; a jeźli *hanum* zachoruje przypadkiem, odwiedza ją

doktór europejski, nieraz nawet młody i przystojny, bo mąż postępowy nie chce okazywać się równie śmiesznie zazdrośnym, jak jego zacofani przyjaciele. Zdarza się nawet czasami, że taki *Effendi* zajmujący jakieś wyższe stanowisko, pozwala żonie patrzéć z po za przymkniętych drzwi, na bal w ambasadzie angielskiéj.

W haremie Turka staréj daty inaczéj się dzieje; tu wszystko jest ściśle tureckie, strój i sprzęty. Z książek, jest tylko jeden Koran, z gazet jedna tylko *Stambulska*. Jeźli *hanum* zachoruje, nie wzywają doktora ale *lekarki* tureckiéj, posiadającéj cudowne lekarstwa na wszystkie choroby. Jeźli rodzice *hanum* zarażeni są trądem nowatorstwa, raz tylko na tydzień mogą widywać córkę. Wszystkie wyjścia domu są szczelnie zakratowane i zawarowane, aby nie przepuścić nikogo i nic europejskiego.

A jednak mimo zazdrośnéj czujności *Effendich*, ścisłego nadzoru eunuchów, a co więcéj stu batów jakiemi koran każe karać niewierną, i choć, wbrew temu co się dzieje w innych krajach, mężowie tureccy tworzą między sobą jakby stowarzyszenie wzajemnego ubezpieczenia, można niemal być pewnym, że „zasłonięte“ Turczynki niemniéj niż Europejki podobnych grzechów mają na sumieniu. Co prawda, nie wrzucają już dziś przeniewierzających się kobiet do Bosforu, ani w workach ani bez nich, a kary postu, milczenia, włosiennicy, bastonady, z małym wyjątkiem, zostały tylko czczą groźbą. Zazdrość pragnie ustrzedz od zdrady, a po - znawszy że mimo to miała ona miejsce, nie wybucha już jak dawniéj wściekłym gniewem i straszną zemstą, gdyż dziś daleko już trudniéj ukryć podobnych tragedyi w zamkniętych murach haremu, a nadto obok wielu pojęć europejskich, wkradła się do społeczeństwa muzułmańskiego i obawa śmieszności. A że dla chcącego sposobność zawsze się znajdzie, to téż i panie tureckie umieją ją obmyśléć. Władze tureckie starają się wszelkiemi sposobami przeszkodzić podobnym nadużyciom, i między ostrzeżeniami policyjnemi ogłaszanemi z powodu wielkich uroczystości, jest najwięcéj zwróconych do kobiet, w formie przestróg i gróźb. Nie wolno im np. wchodzić do pokoi za sklepami, powinny stać tak aby je widać było z ulicy; nie wolno dla spaceru tam i napowrót jeździć jednym tramwajem i jedyną drogą; niewolno dawać znaków przechodniom, tu się zatrzymywać, tamtędy przechodzić, dłużéj nad pewien czas zatrzymywać się w niektórych miejscach — ale łatwo się domyśléć czy przepisy te są szanowane i czy podobna dopilnować ich wykonanie.

Sale kąpielowe zastępują poniekąd Turczynkom sale teatralne; zbierają się tam parami i gromadkami; niewolnice niosą za niemi poduszki, kobierce, przedmioty toaletowe, różne przysmaki a czasem nawet obiad, aby mogły bawić tam od rana do wieczora. W takich salach zaledwie oświetlonych, w pośród marmurów i fontan, znajduje się razem przeszło po dwieście kobiet w stroju matki Ewy: damy europejskie które widziały takie zebrania, utrzymują że widoku tego żaden malarz nie zdołałby oddać. Najszczęśliwsze są jeźli do kąpieli towarzyszy im jaka dama europejska, ileż to i jakich nie zadają jéj pytań!

Lecz nie tylko w kąpielach ale wszędzie lubią rozmawiać z kobietami europejskiemi a szczególniéj przyjmować je u siebie. W takich razach spraszają swoje przyjaciółki, opychają gościa konfiturami i owocami, każą występować całéj służbie, i rzadko kiedy wypuszczą upragnioną cudzoziemkę bez jakiegoś podarunku. Jednak powoduje niemi nie tyle przychylność co ciekawość. Gdy się cokolwiek spoufalą z nową przyjaciółką, dopytują jéj się o rozmaite szczegóły życia europejskiego, oglądają szczegółowo ubranie od kapelusza aż do bucików, i przyglądają od stop do głów, aby się przekonać jak téż zbudowane są te chrześcianki, te kobiety nadzwyczajne co się uczą tylu rzeczy, malują, piszą i każą drukować co napisały, pracują w zakładach publicznych, jeżdżą konno, wdrapują się na wysokich gór szczyty. Jednak od dawna już nie mają o nich tak złego jak dawniéj wyobrażenia, nie wierzą już np. że są żonami lub kochankami każdego mężczyzny który podaje im rękę lub towarzyszy na ulicy. Teraz, w obec dam europejskich, wstydzą się swéj ciemnoty, coraz więcéj naśladują ich ubiór i obejście i uczą się ich języka aby mogły swobodniéj z niemi rozmawiać. Do tureckiéj mowy mieszają wyrazy francuzkie, a nawet nie posiadając tego języka, udają że go umieją lub przynajmniéj rozumieją. Cieszą się jak dzieci gdy im mówią *pani* i dla tego chodzą nieraz do magazynów francuzkich; Pera wabi je do siebie jak światło motyle; przyciąga ich kroki, pieniądze, marzenia — a może nieraz i serce.

Nasłuchawszy się opisów wielkich balów, teatrów, widowisk, obiadów, wspaniałych przyjęć, przygód karnawałowych i opisów dalekich podróży, marzą o tych obrazach w ciemnych murach haremu i samotnych ogrodach, i oddałyby wtedy najchętniéj jasne niebo Wschodu, wszystkie cuda Bosforu, za najposępniejszą dzielnicę Paryża. Lecz nie wszystkie tęsknią jedynie za gorączkowém jego życiem; najwięcéj pragnie gorąco tego życia domowego, tego małego światka jakim jest europejskie ognisko rodzinne, kółka dobrych przyjaciół, gromadki własnych tylko dzieci, pięknéj i szanowanéj starości; tęsknią za tą świątnicą wspomnień, zwierzeń i pamiątek, za tém przywiązaniem i ufnością, które, nawet bez miłości, tworzą tak piękny związek dusz; za tym świętym przybytkiem, gdzie nawet wśród cierpień obecnych i burz młodości, chroni się myśl i ukrzepia serce jakby w arce zapewniającéj nam spokój w przyszłości.

Na pocieszenie litujących się nad smutną dolą Turczynek dodać trzeba, że wielożeństwo zmniejsza się niemal codziennie. Sami nawet Turcy uważają je w ogóle raczéj za nadużycie niźli za przyrodzone prawo mężczyzn. Mahomet powiedział: „Zawsze godzien jest pochwały kto pojmuje jedną tylko żonę“ (co jednak nie przeszkadzało mu samemu miéć kilka). Dziś, kto chce dać przykład dobrych i surowych obyczajów, zaślubia jedną tylko żonę; kto ma więcéj nie jest potępiany, ale téż i nie jest chwalony. Obecnie już mało bardzo Turków w gruncie duszy nie pojmuje niesłuszności i złych następstw wielożeństwa, a wielu jawnie przeciw niemu powstaje. Wszyscy prawie dygnitarze, ministrowie, urzędnicy ministerstw, oficerowie, duchowni, mają po jednéj żonie, a z potrzeby dla braku funduszów, po jednéj także mają ludzie stanu średniego i wszyscy mniéj zamożni; co razem policzone przekonywa że cztery piąte ludności Konstantynopola, nie korzystają z możności wielożeństwa. Wielu ludzi wyższego stanowiska czyni to, co prawda, tylko przez manię naśladownictwa zwyczajów europejskich; inni znów obok jednéj żony mają odaliski, ale sama ta chęć naśladownictwa ma swoje źródło w nieokreśloném poczuciu potrzeby zmiany w społeczeństwie muzułmańskiém, a naganny zwyczaj utrzymywania odalisk musi upaść z ustaniem coraz mniéj dopuszczanego handlu niewolnikami.

Społeczeństwo znowu muzułmańskie nie może przekształcić się na europejskie bez podniesienia i wyzwolenia kobiety, które może nastąpić jedynie przez zniesienie wielożeństwa. Gmach jego już się wali, trzeba tylko uprzątnąć gruzy. Nowa jutrzenka zaczyna już jaśniéć nad haremami, i może nie tak daleką jest chwila kiedy i muzułmanki, wzorem siostr swoich europejskich, zrozumieją że życie nie jest igraszką i uganianiem się za zachciewkami, ale wielkim i świętym obowiązkiem. Wszak dziś już — rzecz dotąd niesłychana — doglądają chorych i rannych!...

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Rzym 15 grudnia.

Podatki od mlewa i szkodliwy jego wpływ na stan zdrowia ludności. Rozboje w Sycylii i Sardynii. Proces Franciszka Amato. Artykuł pana A. Bertololti „O Dziennikarzach, Astrologach i Nekromatach. Chrzest i spuszczenie na morze okrętu *Dandolo*. Włoski przekład książki pana Busch'a „*Ks. Bismark i jego ludzie*!“

(Dokończenie).

Lecz czemże były wszelkie przepowiednie i horoskopy astrologów, w porównaniu wstrętnych praktyk i oburzających zabobonow, do jakich uciekali się nekromanci. Astrologowie przepowiadali tylko rok śmierci papieża, nekromanci pragnęli sprawdzić przepowiednię, przez zadanie śmierci jego postaci. Oto co mówi Gigli w swoim niewydanym dzienniku.

W końcu marca, czy na początku kwietnia 1634, r odkryto spisek uknuty przeciw papieżowi przez trzech mnichów i synowca, kardynała Ascoli, nazwiskiem Giacinto Centino, którzy chcieli wywołać śmierć papieża za pomocą czarów, obiecując sobie że kardynał Centino zasiądzie po nim na tronie papiezkim.

Dnia 22 kwietnia t. r. 1634, w niedzielę po południu miało miejsce w kościele S. Piotra uroczyste pod przysięgą wyrzeczenie się swych błędów i zabobonów, przez ośm osób które pragnęły zadać śmierć papieżowi za pomocą czarów. Byli to: Giacinto Centino synowie kardynała Centino, biskupa Ascoli, marszałek dworu tegoż kardynała i sześciu mnichów z których jeden był „zapalczywym nekromantą“.

Niezliczone tłumy cisnęły się do kościoła S. Piotra, aby usłyszéć sprawozdanie z procesu które miało tam być odczytane; w niewypowiedzianym natłoku zgromadzonych zaszły różne zajścia i nieporządki; raniono kilku zbirów z których jeden zaraz umarł, co było powodem że w skutku profanacyi kościoła przez rozlew krwi, tenże musiał na nowo być poświęcony.

Spiskowcy byli pewni że po smierci Urbana VIII. Kardynał Ascoli zostanie papieżem, a synowiec tegoż przyrzekł im iż wyrobi to u stryja że wszyscy zostaną kardynałami, i dla tego pragnęli sprowadzić śmierć papieża za pomocą szatańskiéj sztuki. Czary te swoje rozpoczęli w r. 1628, odbywając pierwéj próbę ich skuteczności na jakiéjś kobiecie, która téż rzeczywiście w końcu umarła. Zrobili oni statuekę przedstawiającą ową kobietę, którą wsadzili na rożen, piekli na ogniu i kłuli: podczas gdy gorzało zwolna, pustelnik nekromanta odprawiał Mszę św. Sprawdziwszy w ten sposób siłę czarów, zrobili znów statuetkę papieża i też same odbywali z nią czary, a gdy mimo to nie spłonęła, nowe czary dały im poznać iż ponieważ papież nie jest zwykłym śmiertelnikiem, zatém nie umrze dopóki jeden z nich nie odda szatanowi krwi swojéj na ofiarę. Ciągnięto losy i wypadło że synowiec kardynała ma

umierać; wyperswadował jednak wspólnikom iż jeźli on umrze nie zostaną kardynałami. Skutkiem powtórnego ciągnięcia losów, jeden z mnichów winien był poświęcić się na ofiarę, a nie mając ochoty umierać wolał wydać spisek. A że śledztwo wykazało oburzające i zbrodnicze praktyki, wyrok sądu skazał synowca kardynała na ścięcie, co téż dokonanem zostało na Campo di Fioro, pustelnik nekromanta został powieszony; marszałek dworu kardynała i dwóch mnichów zostali, ostatni po zdjęciu sakry, skazani na pewien czas na galery a inni na pięć lat więzienia.

Tenże niewydany dziennik Gigli'ego obejmuje opisy tak strasznych zabobonów i zbrodniczych praktyk nekromantów, odnoszące się do innych osób i fakków, iż zważywszy to wszystko ten surowy niby wyrok jeszcze się za łagodnym wydaje.

Urban VIII umarł dopiero w 1644 r. Zarzucają mu proces wytoczony Galileuszowi, lecz zastanowiwszy się jakich nadużyć dopuszczal się wówczas astrologowie którzy wszyscy niemal byli znakomitymi matematykami, nie dziw że i matematykom nie dowierzał i miał sobie za obowiązek karać ich za wygłaszanie nowych zasad.

Parę miesięcy temu odbyło się w Genui spuszczenie na morze i chrzest okrętu *Dandolo* nowego morskiego Leviatana; nie powiodło się jednak; tył okrętu pozostał w wodzie a przód na lądzie. Ceremoniał rozpoczął się bardzo wspaniale. Biskup Sarzano pobłogosławił statek; nad wybrzeżem wznosił się namiot królewski, w którym zajął miejsce król, młoda i piękna królowa Małgorzata, mająca być chrzestną matką okrętu i cały orszak królewski.

Taki chrzest okrętu, to odwieczna genueńska miejscowa tradycya. Na przodzie okrętu, po nad ostrogą, zawiesza się na wstążce butelka z wodą ze srebrzoną szyją; tu przyprowadził królowę minister marynarki; za nią szedł król wraz z całym dworem. Minister podał królowéj nożyczki, któremi przecięła wstążkę; wiedy butelka upadła na ostrogę i rozbijając się oblała ją wodą, a jednocześnie królowa wymówiła nadaną okrętowi nazwę *Dandolo.* Ale ta bohaterska nazwa wymówiona pięknemi ustami uroczéj królowéj, nie zdołała poruszyć statku. Jednak podobne zdarzenia nie są nowością; w ostatnich latach cztery pancerniki angielskie, temuż uległy losowi. *Northumberland* zwłaszcza wymagał aż przez miesiąc prac dodatkowych, zanim nareszcie mógł być spuszczony na wodę. *Dandolo* odpłynął po upływie trzydziestu-dwóch godzin.

Obecnie *Dandolo* jest jednym z największych okrętów włoskich.

Smutniejsze daleko, niż nieudanie się spuszczenia na wodę *Dandola* sprawił tu wrażenie wypadek jaki miał miejsce na pokładzie fregaty *Vittorio Emmanuele.* Pewien aspirant marynarki, nazwiskiem Leva, mający odbyć pierwszą wyprawę morską, przybył na pokład statku trochę późniéj niż był powinien; admirał kazał mu za karę stać na reju po nad bocianiém gniazdem. W chwili opuszczenia portu Spezzia, w którym *Vittorio Emmanuele* stał na kotwicy, komendant Racchia posłał aspirantowi rozkaz zejścia z masztu. Stał tam przez dwie godzin. Statek płynął nadzwyczaj szybko. Czy zmęczony dokuczliwym skwarem na jaki wystawiony był tak długo na takiéj wysokości, czy odurzony wahaniem się masztów, dość że widziano iż zachwiał się kilkakrotnie i nagle puścił liny których się trzymał. Biedak upadł na pomost z wysokości 32 metrów — podniesiono go już nieżywego. Fregata zmieniła kierunek i złożyła w porcie Spezzia nieszczęśliwego chłopca, który tylko co opuścił go pełen życia. Minister marynarki wysłał telegram do Gibraltaru, gdzie płynęła fregata, rozkazujący komendantowi Racchia aby zdał wskazanemu zastępcy dowództwo okrętu.

Dziwna rzecz że podobny właśnie wypadek-zdarzył się w r. 1846 na pokładzie fregaty sardyńskiéj *Aurora.* Płynęła one z Genui do Anglii. Po raz pierwszy odpłynął na niéj uczeń szkoły marynarki królewskiéj, chłopiec wówczas trzynastoletni; wdrapał się na rej po nad bocianiém gniazdem, chcąc się wprawiać w gimnastykę morską. Starszy porucznik okrętu wołał na niego żeby wszedł aż na szczyt masztu; chłopczyna usłuchał natychmiast, ale w połowie dojścia siły go opuściły i spadł z wysokości 33 metrów. Na szczęście o 21 metrów zahaczył się o belkę idącą do koła masztu, poczem zsunął się po sznurze do podnoszenia masztu i tym sposobem spadł na pomost nie poniosłszy żadnych śmiertelnych uszkodzeń. Po dwóch miesiącach przyszedł zupełnie do zdrowia.

Tym chłopczyną tak cudownie ocalonym, był Karol-Albert Racchia, komendant *Wittorio Emanuele.* Jest to zdolny i pełen zasług marynarz, odznaczył się w Ameryce i w Krymie i wywiązał się dobrze z nader delikatnych missyi w Birmanii i Japonii. Nie znał przedtém aspiranta Leva i nie uchodził nigdy za nieludzkiego zwierzchnika to téż spodziewają się iż zbyt długo nie będzie w niełasce.

Przetłomaczono tu na włoski język książkę Busch'a o księciu Bismark'u, „*Książę Bismark i jego ludzie*" jak brzmi dosłownie tytuł niemiecki. Dr. Busch niewielką pryncypałowi swemu wyświadczył przysługę wydaniem téj książki, nie w zbyt korzystném w ogóle świetle przedstawiającéj niemieckiego kanclerza. Tu najwięcéj zwróciły uwagę powody dla których Garibaldiego wyłączył z zawieszenia broni.

„Mogę pojąć, rzekł kanclerz, Francuza chwytającego za broń w obronie ojczyzny, ale ten awanturnik ze swą bandą kosmopolitycznych republikanów, nie miał prawa mięszać się do wojny. Bądźcie pewni iż jeźli zostanie pojmany, każę go pokazywać za pieniądze, z tabliczką na szyi, na któréj będzie napis: „Niewdzięczność!"

Z tego powodu wnosić należy że to pan Bismarck dostarczył mu pieniędzy na słynną wyprawę złożoną z tysiąca ludzi—dziś jednak ta podziemna polityka kanclerza zaczyna cierpkie wydawać owoce. Urok jego blednie, a owe złote rojenia że niemiecki język i pruski protestantyzm zapanuje nad światem, jak mgła się rozwiewają. Coraz wzmagająca się w cesarstwie niemieckiem nędza, wyradza niezmierną liczbę żebraków nietylko w Niemczech ale i do obcych państw napływających. Czy uwierzycie że według urzędowych sprawozdań włoskich, na dziesięciu zatrzymanych włóczęgów, przypada dziewięciu Niemców. To téż włosi, zawsze trzymający z silniejszymi, ochłodli bardzo w zapale dla Niemców.

T.

O niektórych zabytkach

literatury staro-egipskiéj

przez

L. Szczerbowicza Wieczora.

(Dalszy ciąg).

O pismie egipskiém czyli hieroglifach rozszerzać się tu nie będziemy. Ponieważ jednak o istocie tego pisma niektórzy u nas mają nieustalone pojęcie, powiemy więc w kilku słowach o jego elementach. Wiadomo, że to pismo powstało z rysunków odpowiednich przedmiotów: było więc początkowo *obrazowém.* Następnie obrazy skrócone dla ułatwienia stały się już mniéj wyraźnemi *symbolami*, których liczbę powiększyły znaki symboliczne dla pojęć oderwanych, jakich wyrysować niepodobna, wreszcie powstały hieroglify *fonetyczne* to jest litery, utworzone z rysunków tych przedmiotów, których nazwy poczynały się w języku egipskim od téj głoski (np. rysunek orła znaczył *A*, gdyż orzeł po egipsku *achene*). Wszystkich tych trzech sposobów używano w rozmaitych kombinacyach jednocześnie i przytém znaki obrazowe, symboliczne i fonetyczne oznaczały już to całe wyrazy, już to pojedyńcze sylaby, a gdzie z natury rzeczy było kilka lub więcej znaków do wyboru (tak np. trzcina po egipsku *ak*, a więc rysunek trzciny mógł, równie jak obraz orła, oznaczać literę *A*), tam dowolnie oddawano pierwszeństwo jednemu lub drugiemu. Zdarzało się także że ten sam znak używany był kolejno jako symbol i jako litera, a że przytém niektóre symbole były oparte na bardzo oddaloném podobieństwie lub na mało znanych tradycyach i przesądach (np. pióro strusie oznaczało sprawiedliwość, gdyż wierzono, że wszystkie pióra tego ptaka są jednakowéj długości) albo nawet zupełnie były niejako zagadkami (np. krzyżyk z uszkiem oznacza życie). Wszystko to przyczyniało się do powikłania pisma, nie dopuszczało ustalenia jednego systemu, a dla nas powiększa trudności odczytania. Wszelako błędném jest przyjęte od pisarzy greckich przekonanie, jakoby hieroglify były pismem świętém, tajemném, znaném tylko kapłanom: same już odkrycia mnóstwa napisów i utworów, prywatnych i poetycznych, rachunków, listów i t. p. zabytków, temi samemi hieroglifami pisanych, obala stanowczo powyższe przypuszczenie. A więc i sama nazwa hieroglifów (święte znaki) okazuje się dziś niestosowną. Również najnowsze badania sprostowały poglądy historyków greckich na dwie odmiany hieroglifów *pismo hieratyczne* i *demotyczne*: Grecy mniemali że były to odrębne alfabety, a ostatni tylko przeznaczony do powszechnego użytku laików; pokazało się zaś że w rzeczywistości były to tylko dwa rodzaje kursywy tego samego pisma hieroglificznego, które znajdujemy na pomnikach i grobowcach. Od czasów mniéj więcéj XVIII dynastyi (około 1700 roku przed Chr.) całkowite pismo hieroglificzne pozostało alfabetem lapidarnym, pomnikowym: kursywa zaś hieratyczna używaną była w literaturze; nakoniec bardziéj jeszcze uproszczona kursywa demotyczna zjawia się dopiero od czasów Psametycha (VII wiek przed Chr.).

Oczywistą jest rzeczą, że gdy mowa o literaturze egipskiéj owych odległych czasów, wyraz ten nie może być branym w dzisiejszém swojém znaczeniu. Ściany piramid, świątyń i grobowców, sarkofagi i powijaki mumii, kamienne piersi kolosów i sfinksów — oto karty pierwotnéj literatury egipskiéj. Zwoje papyrusowe, dotychczas odkryte, sięgają już epoki nieco późniejszéj i mówiąc o literaturze Egiptu, niepodobna ograniczyć się temi rękopismami, tém bardziéj że w obec naszego zadania — wykazać podnioślejsze i mające powszechny interes dla ludzkości porywy myśli starych Egipcyan — wypadnie z konieczności potrącić i o napisy pomników. Ponieważ jednak szczegółowy obraz wszystkich zabytków hieroglificznych nie stanowi zadania niniejszéj pracy, trzymając się więc drogi pośredniéj, uwarunkowanéj powyższém założeniem, będziemy mówili przeważnie o ważniejszych ręko-

pismach, a o niektórych tylko zabytkach literatury lapidarnéj.

Przede wszystkiém wypada wspomniéć słów kilka o oryginalnych zabytkach piśmiennych historycznych, które wraz z odkrytemi i od czasów Champolliona odczytanemi napisami, przeobraziły prawie z gruntu dotychczasową historyą polityczną Egiptu. Pokazało się że dotychczasowe następstwo Faraonów i ich dynastyi, przeważnie z opowiadań Herodota zaczerpnięte (a u nas przechowujące się jeszcze dotąd w podręcznikach szkolnych i w wykładzie historyi) jest prawie całkiem błędne: zasłyszane przez Herodota od kapłanów egipskich podania, zostały przez tego historyka zestawione w fałszywym porządku chronologicznym; niektórzy ze wzmiankowanych u niego Faraonów (jak Sezostrys lub Sabakon) nie istnieli wcale, a czasem z nazwy miasta lub jeziora Herodot zrobił faraona (jak np. Amenenha III błędnie nazwanego Merysem). Nielepiéj wyszli późniejsi historycy greccy i rzymscy, z wyjątkiem jednego tylko Manetona, którego dochowany spis dynastyi egipskich świadectwa pomników potwierdziły w zupełności. Najdawniejszym zabytkiem historycznym jest znajdujący się w muzeum brytańskiém papyrus — ułamek kroniki opowiadający wypędzenie Hyksósów (około 1700 przed Chr), zapewne spółczesnéj. Daléj ważne są resztki rękopismu papyrusowego, znalezione przez Drovettego i znajdujące się obecnie w muzeum turyńskiém. Szacowny ten zabytek, napisany za czasów króla Ramzesa II (XIX dynastyi około 1650 roku przed Chr.) zawierał spis wszystkich monarchów egipskich, tak bajecznych jak historycznych od czasów najdawniejszych aż do Ramzesa II, z dokładném oznaczeniem dynastyi i lat panowania każdego z królów. Był to niewątpliwie dokument urzędowy — najdawniejszy znany zabytek historyi urzędowéj — ale na nieszczęście 32 wieki tak go zniszczyły, że przechował się tylko w urywkach, do których zaledwie dotknąć się można,

Trzecim szacownym zabytkiem historycznym jest malowidło ścienne, zdjęte z jednéj świątyni tebańskiéj i przechowujące się obecnie w muzeum luwru w Paryżu. Jest to więc już zabytek lapidarny i przy tém jednocześnie malarski i literacki gdyż i sztuki piękne, a zwłaszcza malarstwo z hieroglifami ściśle złączone, u Egipcyan od literatury czasem oddzielić trudno. Zabytek ten jest dawniejszym od poprzedzającego, gdyż sięga czasów króla Tutmesa III (z XVIII dynastyi około 1580 roku przed Chr.) i przedstawia tego króla, składającego hołd swoim poprzednikom w liczbie 61. Przy tém wypisane są imiona tych poprzedników i podboje króla Tutmesa. Niektórych imion brakuje, a zresztą, pokazało, się, że wyobrażeni królowie są to tylko wybrani i sławniejsi z poprzedników Tutmesa, nie zaś wszyscy, i przytém niezawsze umieszczeni w chronologicznym porządku następstwa.

Tu należą także znajdujące się obecnie w muzeum brytańskiem *dwie tablice z Abydos*, przedstawiające podobny hołd przodkom, składany przez królów Ramzesa II i jego ojca Setisa I i wreszcie tablica z *Sukkarah* (przedmieście Kairu), przedstawiająca kapłana, imieniem Tunari, również z czasów Ramzesa II, składającego po śmierci hołd duchom 58 królów. Te i poprzedzające zabytki dopomogły do sprostowania imion i następstwa wielu Faraonów i wypełniły istniejące w dawnych podręcznikach kilkowiekowe przerwy pomiędzy dynastyami VI i XII, XIII i XVII.

Te są zabytki historyczne, tyczące się ogólnych, mniéj więcéj, dziejów politycznych Egiptu. Panowania pojedyńczych królów wysławia i opowiada mnóstwo napisów na pomnikach i grobowcach o których tu mówić nie będziemy.

Załatwiwszy się w krótkości z pomnikami historycznemi, rzućmy teraz okiem na inne rodzaje literatury.

Najdawniejsze zabytki literatury egipskiéj sięgają końca panowania V dynastyi to jest 3900 roku przed Chr. (trzymamy się stale chronologii Lepsiusa). Niepodobna nie wspomniéć o pochodzących z owych odległych czasów napisach na nagrobkach, obudzających dziś jeszcze podziwienie rzewnością i delikatnością uczuć. Tak na grobie jednego z urzędników egipskich, czytamy wyryte przed 56 wiekami następujące słowa: ,,Obejrzawszy wszystko, odszedłem z tego świata, w którym zawsze mówiłem prawdę i czyniłem sprawiedliwość. O wy, którzy po mnie nastąpicie! Bądźcie dla mnie życzliwi i dajcie świadectwo swojemu przodkowi!“ Obok tego nagrobka znajdują się dwa inne kobiece. Na jednym zmarła przemawia w te słowa: ,,płaczę, tęskniąc za ożywczym powiewem wiatru, na brzegu fal Nilowych, które chłodziły mój smutek.“ Druga dusza niewieścia następnemi słowy tłómaczy się z grzechów swojego żywota, których źródło mieści w sercu: ,,O serce, serce, które wzięłam od matki! Serce z czasów żywota mego na ziemi! Nie powstawaj przeciwko mnie na świadectwo, nie obwiniaj mię przed wielkim Bogiem!“ Zaledwie można wierzyć że to półszósta tysiąca lat temu, w epoce, do któréj nie sięga żaden inny zabytek piśmienny i żadna pewna tradycya innych narodów, tak tkliwie przemawiało niewieście serce, które już wtedy przez przenośnię uznawano nad Nilem za siedlisko uczuć, już wtedy pojmowano jako przeważającą cechę kobiecości i regulatora postępków kobiety.

Do tegoż samego czasu, a mianowicie do panowania Assy Tatkerasa, przedostatniego króla V dynastyi (około 3750 przed Chr.) wypada odnieść słynny i szacowny zabytek — najdawniejszy na świecie utwór moralno filozoficzny ,,Nauki Phtha-Hotepa.

Wprawdzie zawierający to dzieło papyrus, odkryty przez p. Prisse d'Avesnes i znajdujący się obecnie w bibliotece narodowéj w Paryżu, pochodzi z czasów XI dynastyi (około 3050 roku), ale, jak to widać z treści, jest późniejszą kopią oryginału, gdyż autor dzieła, sędziwy dostojnik Phtha-Hotepa mówi o sobie że „spędził sto dziesięć lat życia w łaskach królów,“ których przytoczone imiona należą do V dynastyi. Autor napisał te przestrogi dla syna, w kształcie maksym i przypowieści moralnych, przypominających styl i wyrażenia daleko późniejszéj Biblii. Na początku ubolewa nad swoją zgrzybiałością temi słowy: „O Ozyrysie, Panie mój! Zestarzéć się jest to ostatnie nieszczęście i wielkie przekleństwo — jest to zdziecinniéć powtórnie. Starzec układa się do snu i cierpi. Oczy mu już nie służą, uszy słabną, siły opadają, usta przestają mówić, braknie mu słów, serce jego twardnieje, stawy mdleją, niepamięta on już nawet dnia wczorajszego. Starość czyni człowieka nieszczęśliwym pod wszystkiemi względami.“ Daléj mówi autor, zkąd mu przyszło natchnienie do napisania téj pracy. „Bóg majestatu rzekł: naucz swego syna zasad starożytnych. Rzekł więc starzec synowi: nie pysznij się w swém sercu z nauki: radź się zarówno nieumiejętnego jak uczonego. Ceń dobre słowo wyżéj nad szmaragdy, które znajdują się pomiędzy klejnotami na ramionach służących. Uczucie litości warte więcéj niż ofiary. Ciało twoje większą ma cenę niż odzież.“

W formie podobnych lakonicznych przypowieści sentencyi idą daléj nauki o zachowaniu się w każdém położeniu, a szczególniéj o stosunku względem króla i starszych, który powinien być nacechowanym (tak samo jak podług chińskich mędrców La-Heu i Konfucyusza) synowską miłością i posłuszeństwem. „Syn, który przyjmuje słowo ojca swego dożyje starości. Posłuszeństwo syna względem ojca jest pociechą. Taki syn drogim jest ojcu i imię jego żyje w ustach ludzi, po kraju wędrujących. W stosunkach z królami powściągaj gwałtowną żądzę czynić to, co ci przyjdzie na myśl. Jeżeli otrzymasz pozwolenie usiąść w obec króla, ustąp swego miejsca starszemu od siebie, przywitaj go, bijąc czołem o ziemię i staraj się niczém go nie obrazić. Jeżeli, jako mąż rozsądny, wezwany będziesz do rady króla, powściągnij swe serce i pamiętaj że powściągliwość w słowach jest godniejszą od kwiecistego paplania. To, co wiesz, objaśniaj wymownie; nie miotaj obelg, gdyż słowo jest najniebezpieczniejszą rzeczą: kto je raz spuści z łańcucha, nie potrafi go już cofnąć *). Sprawiedliwość jest wielka, konieczna, niezachwiana od dni Ozyrysa. Bądź ostrożnym z kobietami: niedobre to miejsce, gdzie one się znajdują, a nierozsądnym jest ten kto je uwodzi. Tysiące ludzi zginęło za jedną chwilkę, bardziéj od snu znikomą. Śmiercią jest poznanie kobiety.“

W ostatnich maksymach mędrzec egipski wypowiada zapewne tę prawdę, głęboko w umysłach ludów wschodnich zakorzenioną, że od kobiet i przez kobiety przychodzą największe nieszczęścia. W ogólności widzimy z przytoczonych wyjątków, że niektóre mądre zdania Phtha-Hotepy nie lękają się porównania z wypowiedzianemi daleko później zdaniami Hioba i Salomona; a jednak i tutaj przebija się owa niewolniczość chamicka, o któréj mówiliśmy powyżéj, choć zdumiewająca, jak na owe czasy i warunki, pochwała litości, mądrości i sprawiedliści, równoważy te cechy ujemne i przynosi zaszczyt pamięci starożytnego mędrca: są to owe błyski i porywy dążeń idealnych, o których wspomnieliśmy powyżéj. Nakoniec ciekawa okoliczność, że dzieło Phtha Hotepy posiadamy w późniejszéj kopii zdaje się potwierdzać domysł, że już wtedy podobne utwory rozchodziły się w odpisach i znajdowały czytelników.

(*d. c. n.*)

*) Ostatnią myśl mędrzec egipski wypowiedział daleko dobitniéj niż w 37 wieków po nim Horacy (nescit vox missa reverti Ars. Poet, v. 390.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 16 Января 1879 г. Redaktor J. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego

(Ciąg dalszy).

— O! niech i tak będzie, rzekł lord Dane, obrażony tak niegrzeczną odpowiedzią. Może być spokojnym, nie będę mu się narzucać. Zaczekam na jego wizytę, jeźli uzna za właściwe oddać mi ją. Jak się ma ten biedny majtek?

— I ten nie wstał jeszcze, ale nic to nie znaczy; wszyscy majtkowie korzystają chętnie z każdéj sposobności dozwalającéj im wypocząć sobie w łóżku. Co prawda ma głowę mocno pokaleczoną, i najmniéj godzinę musiałam mu ją opatrywać dziś w nocy, Sam nie wie jakim sposobem tak ją zranił; zapewne uderzył o jakiś ostry kant skały... Milord już odchodzi. Najpiękniéj dziękuję za tę chwilkę rozmowy.

Kiedy lord Dane odchodząc zwrócił się ku miastu, pan Lydney wracał z piasczystego wybrzeża do *Gospody Marynarzy.*

„Kto jest ten pan? zapytał pani Ravensbird, która odprowadziła lorda aż do drzwi oberży.

— To lord Dane, panie.

— Lord Dane! powtórzył z zadziwieniem Lydney Jak on młodo wygląda.

— Więc pan sądził że jest już starcem?

Lydney milczał przez chwilę, a po tém zaśmiał się głośno.

— Otóż to, rzekł, co to jest poplątanie się myśli; mówiłaś mi pani o lordzie Dane jako o panu Danesheldu, i wyobraziłem sobie poważnego starca, z głową pokrytą siwizną, jak naprzykład mego przyjaciela z pierszego piętra, tymczasem zobaczyłem pięknego i wysokiego mężczyznę, prawie w kwiecie wieku.

— Wszyscy pochodzący z rodu Dane'ów są wysokiego wzrostu i piękni.

— Więc to leży już w ich krwi.

— Z pewnością. Przyszedł tu aby zapytać o zdrowie pana i pana Home. Chciał widziéć się z panami i zapytał czy nie może być w czém użytecznym. Prosił abym oznajmiła to towarzyszowi pana, który jednak nie chciał go przyjąć. Obraziło to bardzo milorda.

— Może zechce się z nim widziéć skoro będzie mógł wstać z łóżka.

— W takim razie namyśli się po niewczasie, bo lord Dane oświadczył że tu już nie przyjdzie, i że jeżeli pan Home zechce się z nim widzieć, to będzie musiał pofatygować się do jego pałacu. Niech pan przyzna że przyjaciel pana postąpił bardzo niegrzecznie.

— Sądzę że ta odmowa nie pochodzi z braku grzeczności. Pan Home musiał się czuć zbyt słabym aby mógł przyjmować wizyty; dziś rano był bardzo cierpiący.

— Dla czegoż w takim razie nie wezwie doktora.

— Radziłem mu to właśnie dziś rano, ale odpowiedział że nie potrzebuje innego lekarstwa prócz spokojności i spoczynku, i kto wie czy nie ma słuszności; wszak nie jest poraniony ani też potłuczony.

— To nie wszystko jeszcze, mówiła daléj pani Ravensbird; poszłam sama do niego zapytać się czy nie życzyłby sobie miéć na obiad kurczątka z kompotem lub coś równie delikatnego; mruknął tylko coś przez zęby, o ile mi się zdaje że nie będzie jadł obiadu.. słowem, zaledwie mi odpowiedziéć raczył. Może pan będzie szczęśliwszym, i dowie się od niego co sobie miéć życzy.

— Sprobuję, odpowiedział śmiejąc się Lydney, ale prawdopodobnie wrócę także z niczém. W każdym razie niech to panią nie kłopocze.

Pokój zajmowany przez pana Home był najpiękniejszy i najwygodniejszy w oberży; pani Ravensbird nazywała go pokojem „paradnym." Łóżko stało naprzeciwko drzwi wchodowych, kominek był po prawej stronie. Gdyby wynieść łóżko, byłby to bardzo miły salonik; znać było że urządzała go Francuzka. Meble mahoniowe, firanki i portiery błękitne adamaszkowe, przy kominku mała kanapa, na środku duży stół, i wygodne fotele, widzimy że nie brakowało niczego. Wprawdzie przez środek sufitu przechodziła gruba belka nie upiększająca bynajmniéj pokoju, ale z drugiéj strony nie przeszkadzająca nic do komfortu.

Pokój pana Lydney znajdujący się po drugiéj stronie korytarza był mały i bardzo skromnie umeblowany. Pani Ravensbird dla przysłużenia się tak miłemu młodzieńcowi, dla którego czuła szczerą przychylność, byłaby rada aby jéj lokatorowie wykonali prawdziwe *chassé-croisé,* a w takim razie jéj protegowany dostałby paradny pokój a *stary mruk* mógłby bardzo poprzestać na mniejszym, aż nazbyt dobrym dla niego. Wspomniała nawet o tym zamiarze panu Lydney, który odpowiedział ze zwykłą sobie wesołością: „Kto raz znajdował się w łodzi ratunkowéj, wszędzie mu po tém będzie wygodnie. Mój pokoik wydaje mi się rajem, i nie chcę go zmieniać." Nie chcąc martwić swéj gosposi, zajął stosownie do jéj życzenia, drugi jeszcze pokój z widokiem na morze, który mu służył za pokój jadalny.

Chory przez cały dzień leżał w łóżku. Ravensbird wszedł do niego wieczorem, w pokoju było ciemno, a ogień prawie wygasł na kominku.

Ravensbird dołożył węgli, rozpalił ogień i zamierzał wyjść cicho, kiedy pan Home odezwał się do niego:

— Jaka też jest ta okolica?

— O co się pan pyta?

— Jaka jest ta okolica?

Ravensbird zastanowił się chwilę w jakiém znaczeniu ma zrozumiéć to pytanie, a w końcu odpowiedział:

— Jest to okolica bardzo spokojna, jeżeli tylko nie zostaje pod wrażeniem tak strasznego jak wczorajszy wypadku, lub też walki z przemytnikami albo złodziejami zwierzyny. Przemytnictwo prawie ustało od pewnego czasu, ale nie można tego powiedziéć o kradzieży zwierzyny, która wzmogła się znacznie w ciągu długiéj nieobecności lorda Dane.

— Ten lord Dane to najznakomitsza osobistość w téj okolicy, jak mi mówił mój sąsiad.

— Miał słuszność. Dane'owie od niepamiętnych czasów są panami Danesheldu, i zawsze przewodniczyli w okolicy. Teraz jednak już od kilku lat pałac stał prawie pustkami, co nie małą przynosiło szkodę okolicy. Obecny lord nie mieszkał w nim.

— Dla czego?

— Wkrótce po odziedziczeniu tytułu wyjechał za granicę gdzie bawił przeszło dziesięć lat, i zkąd nie dawno wrócił. Sądzą ogólnie że już teraz z nami zostanie, a co do mnie jestem tego prawie pewnym; urządził pałac na nowo i skompletował służbę.

— Czy nie ożenił się jeszcze?

— Nie, siostra jego, miss Dane mieszka przy nim i występuje w charakterze pani domu.

— Co mi pan rozpowiadasz? zawołał chory po chwili milczenia, lord Dane nie ma siostry!

— Przeciwnie, ma siostrę która bawi przy nim, jak to już powiedziałem.

— Powtarzam że nie ma siostry, zawołał pan Home z niecierpliwością, tém widoczniejszą że dotąd mówił spokojnie, obojętnie; przypominam sobie że znałem w Paryżu pana Dane, obecnie para Anglii i ten nie miał wcale siostry.

Ravensbird miał zasadę nigdy nie przekonywać kogoś upierającego się przy swojém zdaniu, i teraz też postąpił tak samo. A to uparty jakiś człowiek, pomyślał, spoglądając z pod oka na swego lokatora którego górną część twarzy zasłaniała umbrelka, a niższą kołdra.

— Tak, poznałem obecnego lorda w Paryżu, i nawet widywaliśmy się często, a późniéj dowiedziałem się że został lordem. Słyszałem także o nieszczęśliwym wypadku, którego ofiarą był kapitan Harry Dane. Wszak późniéj nic już o nim nie słyszano?

— O kim, panie?

— O kapitanie Dane.

Ravensdird milczał przez chwilę. Zadawał sobie w myśli pytanie czy to jest możliwém aby ten cudzoziemiec wiedział coś o rzuconém na niego oskarżeniu, i mówił to w chęci dokuczenia mu. Ravensbird był zawsze bardzo drażliwym pod tym względem, i nie dozwala nikomu czynić o tém najlżejszéj wzmianki.

— Więc pan zna okoliczności mające związek z tym wypadkiem? zapytał nakoniec.

— Tak, ale wiadomość ta nie pochodzi od lorda Dane. Straszny to musiał być upadek z tak znacznéj wysokości. Czy dowiedziano się kiedy co się stało z tym biednym chłopcem?

— Tak, bo znaleziono jego ciało, i pochowano je w grobach familijnych.

— Gdzież je znaleziono?

— W morzu, znaleźli je rybacy. Gdyby nie ja, niktby go nie poznał. Znajdowałem się właśnie nad brzegiem morza, kiedy go wyniesiono z łodzi, i poznałem zaraz po zębach i znamieniu na ciele.

— Dla czegóż, panie gospodarzu miałbyś go poznać prędzéj niż kto inny?

— Służyłem u niego przez kilka lat.

— A! czy tak. W takim razie słyszałem coś o tobie. Podobno pokłóciliście się z sobą.

Tak mi przynajmniéj mówiono, jeżeli tylko dobrze przypominam sobie.

Ryszard Ravensbird przekonany, że lokator jego znając niedokładnie tę sprawę chciał go doprowadzić do opowiedzenia mu wszystkich szczegółów, postanowił zastosować się do jego życzenia. Opowiedział wszystko spokojnie, nic nie zamilczając jak mówił zwykle z osobami które wiedziały że był aresztowanym w skutku tego wypadku.

— Tak się kończył, była to niegodziwa napaść ze strasznemi skutkami! Do dziś jeszcze niewiadomo kto był napastnikiem czy też przeciwnikiem kapitana. Podejrzenie padło na dwie osoby, najprzód na mnie, i z tego powodu zostałem nawet aresztowanym; następnie na kramarza, którego widziano na skalistém wybrzeżu, odpowiadającego z gniewem kapitanowi, niedługo przed popełnionèm morderstwem. Co do mnie, posądzałem o to, w głębi duszy, kogoś, na którego nie padło żadne podejrzenie.

— Kogóż takiego, panie gospodarzu?

— A! nie chcę go wymieniać.

— Na czémże opierano rzucane na pana podejrzenie?

— Tego samego rana pokłóciłem się z kapitanem Dane, i doszło do tego że mnie wygnał z pałacu i kopnął nogą; z tego powodu posądzono mnie o morderstwo popełnione w kilka godzin późniéj. Przyznaję teraz że pozory usprawiedliwiały poniekąd to posądzenie. Mylono się jednak, byłbym chętnie oddał życie dla ocalenia mego pana. Oddałbym je dziś jeszcze gdyby on mógł przez to ożyć. Byłem do niego szczerze przywiązany, i pozostałem wierny jego pamięci.

— Pomimo kopnięcia nogą?

— A panie! odezwał się urażony Ravensbird, albo to choćby najżywsza sprzeczka, wybuchła pod wpływem uniesienia które nam obydwom nie dozwoliło zastanowić się nad tém co czynimy, mogła zniweczyć kilkoletnią przyjaźń? Tak, panie, przyjaźń! nie waham się powiedziéć tego. On był kapitanem Dane, potomkiem znakomitego rodu, a ja tylko jego służącym, a pomimo że on nie zapominał nigdy o swéj godności, ja zaś pamiętałem zawsze o mojém zależném i podrzędném stanowisku, łączyło nas jakieś uczucie zasługujące na to aby go nazwać przyjaźnią! Śmiało powiedziéć mogę że nikt nie mógł miéć szczerzéj przywiązanego i wierniejszego sługi niż ja byłem.

Chwilka milczenia. Ravensbird poprawił na kominku; chory przewracał się niespokojnie w łóżku.

— Co się stało z Herbertem Dane. bo i o nim także słyszałem wiele. Podobno miał się żenić z jakąś młodą panienką, mieszkającą także w pałacu? przynajmniéj mówiono że się kochają wzajemnie.

— Lady Adelajda Erol? zawołał Ravensbird, któremu odgłos wynikający z przewracania węgli cęgami nie dozwolił dosłyszéć wyraźnie pierwszéj części pytania, tak kochała go, ale w końcu nie chciała pójść za niego, i zaślubiła pana Lester—squira Lester, jak go tu nazywamy. A! ta kobieta była dla mnie także nieodgadnioną zagadką.

— A to dla czego?

— Ha!... były do tego różne powody w owym czasie. Dziś ma już całą gromadę dzieci. Ten młody człowiek który wczoraj z narażeniem własnego życia wypłynął na morze— któremu głównie zawdzięcza pan swoje ocalenie—jest to najstarszy syn pana Lester—ale z pierwszego małżeństwa—pan Wilfrid Lester. Biedny chłopiec, znajduje się wnader smutném położeniu.

— Z jakiego powodu?

— Nie ma nawet złamanego grosza na utrzymanie swoje i młodziutkiéj żony, tak że oboje prawié umierają z głodu.... Wiadomo panu zapewne, że kiedy człowiek z wyższego świata zostanie nagle doprowadzony do nędzy, często nie umiejąc sobie radzić inaczéj, nie przebiera w środkach zapewnienia sobie choćby najlichszego utrzymania. Podobno i w tym razie, a winę trzeba przypisać głównie lady Adelajdzie.

— To co mówisz, panie gospodarzu, jest także dla mnie zagadką.

Ravensbird opowiedział w krótkich słowach jakie okoliczności doprowadziły syna pana Lester do tak rozpaczliwego położenia. A! gdyby lady Adelajda mogła go usłyszéć....

— Biedny człowiek! rzekł pan Home. Wczoraj byłem tak osłabiony, że nie wiele zwracałem na niego uwagi, zdawało mi się jednak że to piękny i dzielny młodzieniec. Ale mówiliśmy o panu Herbercie Dane. Czy jest w Danesheld?

— Tak, panie. Wszak mówiłem już że wrócił do pałacu.

— Do pałacu? Cóż on tam robi?

Ravensbird spojrzał znów z zadziwieniem na swego lokatora, ale i teraz wzrok jego zatrzymał się tylko na kołdrze i umbrelce; twarz była niewidomą z wyjątkiem końca nosa opierającego się na brzegu kołdry. Był to wprawdzie nos piękny, ale trudno było wyczytać coś z niego.

— Co on tam robi?

— Mieszka w pałacu.

— On! i lord Dane zezwala na to?

— Aha! rozumiem teraz. Pan nie wie że właśnie Herbert Dane jest teraz lordem. Tak lord Dane o którym mówiliśmy, i który dziś rano chciał odwiedzić pana, był dawniéj tylko Herbertem Dane. Tytuły swe odziedziczył po śmierci starego lorda.

Pan Home wsparł się na łokciu, i bystro, z pod swéj umbrelki patrzył na Ravensbird'a.

— Ale, na miłość boską, cóż w takim razie stało się ze starszym synem, Godfrydem Dane, którego poznałem w Paryżu?

— Zakończył życie prawie jednocześnie z bratem ... zanim jeszcze znaleziono ciało mego biednego pana, zwłoki Godfryda Dane spoczywały już w familijnym grobie.

— Gdzież on umarł? Na co umarł? zapytał pan Home z dziwném jakiémś wzruszeniem.

— Na zgniłą gorączkę. Nie pamiętam w jakiém mieście, zdaje mi się jednak że w okolicach Rzymu, bo ciało jego przywieziono do Anglii okrętem z Civita-Vecchia. Milady w kilka dni po tém zakończyła życie, a stary lord umarł najdaléj w sześć tygodni po niéj.

— Wiem, wiem o tém, odezwał się chory z gorączkową niecierpliwością. Czytałem te szczegóły w gazetach, czytałem w nich także że po nim majątek i tytuły odziedziczył Godfryd, a nie Herbert Dane.

— Bo ma dwa imiona: Herbert-Godfryd, i skoro został lordem, zaczął się podpisywać Godfryd, tylko. Jest to ulubione imię w rodzinie Dane.

Pan Home położył się i otulił napowrót kołdrą, Ravensbird trochę zadziwiony jego zachowaniem, milczał.

— Zadziwiły mnie bardzo udzielone mi przez ciebie wiadomości, kochany gospodarzu, odezwał się po chwili pan Home, byłem pewny że to mój dawny przyjaciel jest teraz lordem Dane i parem Anglii, i zamierzałem odnowić z nim znajomość. Kiedy mnie chciał odwiedzić dziś rano, byłem przekonany że to on, ale byłem tak cierpiącym że nie mogłem go przyjąć. Herbert, lordem Dane! zaledwie temu uwierzyć mogę!

— A jednak tak jest, i to już od dziesięciu lat.

— Czy jest tu lubionym?

— Bardzo! Wprawdzie nie miał jeszcze sposobności zasłużyć sobie na miłość lub niechęć, ponieważ był ciągle nieobecnym, ale umiał stać się popularnym po powrocie... zresztą postąpił sobie bardzo szlachetnie po śmierci lorda Dane. W testamencie zmarłego lorda znajdowało się dużo legatów dla różnych osób, co razem stanowiło bardzo znaczną sumę. Ale testament ten był całkiem nieważnym, ponieważ milord zakończył życie nie podpisawszy go; jednak Herbert Dane wykonał wszelkie jego rozporządzenia tak sumiennie, jakby go do tego zmuszało prawo.

— To rzeczywiście postępek piękny i szlachetny.

— Zapis dla saméj tylko lady Adelajdy Erol wynosił piętnaście tysięcy funtów. Duża suma jak pan widzi, pomimo to wypłacił ją zaraz.

— Ale dla czego nie ożenił się z tą lady Adelajdą? zapytał chory z żywością; wszakże już wtenczas był dość bogatym, i dość wysokie zajmował stanowisko?

— Nie chciała pójść za niego, jak to już mówiłem, zmieniła nagle zdanie.... Był to jakiś dziwny kaprys, jakaś niepojęta fantazya z jéj strony. Żona moja służyła wtenczas u lady Adelajdy i powiedziała mi to zaraz, ale nie wspominaliśmy nigdy o tém nikomu, i nikt też nie domyśla się nawet że kiedyś myśleli o sobie.

— Bo też może tak bardzo nie myśleli.

— O! przeciwnie, ale to jeszcze wtenczas kiedy on był tylko Herbertem Dane, i kiedy żadne z nich nie przypuszczało nawet że zostanie tym czym teraz został, to jest panem Danesheldu.

— I nie ożenił się dotąd?

— Nie jeszcze, i obecnie nie ma kto odziedziczyć po nim majątku i godności, zgasłyby też razem z nim gdyby umarł. Ludzie utrzymują że może ożeni się teraz, kiedy już osiadł w Danesheld.

Pan Home nic już nie odpowiedział. Odwrócił się do ściany, i znów było tylko widać jego siwe włosy i wielką umbrelkę.

Rodzdział II.

Szkatułka.

Nazajutrz po rozbiciu się okrętu niezwykły ruch panował na skalistém wybrzeżu, zupełnie jak w dzień jarmarku: wszyscy mieszkańcy Danesheldu uwijali się potrącając się wzajemnie, to na skalistém to na piaszczystém wybrzeżu, a wszystkich sprowadziła tam ciekawość.

Wicher, jakkolwiek już nie tak gwałtowny, niekiedy jeszcze dął tak silnie, że niebezpiecznie było stać nad brzegiem skalistego wybrzeża.

Szczątki okrętu widoczne jeszcze były przy odpływie morza, zaczepione zapewne na jakiéj podwodnéj skale. Tu i owdzie pływały belki i kawały drzewa, a piasek przy brzegu morza był zasiany kawałkami żelaza. Po masztach i rejach nie pozostało nawet śladu, tylko kadłub statku wychylał się jeszcze nad wodę, ale łatwo było przewidziéć że przypływające morze uniesie go i pochłonie.

Bill Gand, na którego zdaniu można było polegać, zapewniał że prawdopodobnie na statku nic już nie pozostało, to jest, że fale uniosły z niego

żywność, ładunek, i rzeczy pasażerów. Niekiedy wypływały jeszcze na wierzch ciała utopionych, ale w takiéj odległości że widokiem swym nie przerażały ciekawych, pomimo że wśród nich było wiele kobiet.

Znajdował się tam i pan Lydney, tylko że nie przywiodła go ciekawość. Nie zważając na gwałtowność wiatru i grożące z tego powodu niebezpieczeństwo, chodził tam i napowrót nad brzegiem skalistego wybrzeża przypatrując się uważnie przedmiotom które morze wyrzucało co chwila na brzegi. Pozostawił na statku szkatułkę zawierającą nader ważne papiery, których strata nie dałaby się niczém powetować.

— Niedaleko od niego stała miss Bordillion i Marya, prawie także nad brzegiem skalistego wybrzeża. Marya posłyszała coś o szlachetném poświęceniu się brata w czasie wczorajszéj burzy, i pośpieszyła do miss Bordillion aby podzielić się z nią tak dobrą wiadomością, następnie zaś pociągnęła ją z sobą aż na miejsce które było świadkiem chwalebnych czynów Wilfrida.

„Czy wierzysz temu co mówią, Małgorzato? Słyszałam że ojciec podał rękę Wilfridowi i prosił go aby nie narażał swego życia.

— Już trzy razy, moje dziecię zadajesz mi toż samo pytanie, odpowiedziała spokojnie miss Bordillion, a więc ja także powtarzam tylko że nie słyszałam o tém.

— Jakżebym chciała powziąść jakąś pewną wiadomość. A! gdyby to mogło być prawdą! Pomyśl tylko Małgorzato że to mogłoby być pierwszym krokiem do pojednania.

— Nie rachuj na to tak bardzo, do mnie zupełnie odmienne doszły wieści, powiedziano mi że kiedy Wilfrid doprowadził do przystani łódź a w niéj tych których zdołał uratować, wszyscy cisnęli się do niego aby mu powinszować i uścisnąć jego rękę. Tylko pan Lester i lady Adelajda stali na boku i nie wyrzekli ani jednego słowa.

— A! byłby to dowód wielkiéj niesprawiedliwości! zawołała z żywością Marya.

Zajęta rozmową postąpiła parę kroków naprzód, nie widząc że zbliżyła się do samego brzegu skały, a w minutę może późniéj posłyszawszy jakiś hałas na piaskach nadmorskich, pochyliła się naprzód chcąc zbadać jego przyczynę. Jednocześnie silny pęd wiatru przesunął się przez wybrzeże pędząc przed sobą tumany kurzu, i Marya...

— Ostrożnie Maryo! krzyknęła przerażona miss Bordillion.

Wicher tak gwałtownie wkręcił się w suknię i szal Maryi że miał już strącić ją ze skały, kiedy jakieś silne ramię ujęło ją w pół i odciągnęło w przeciwną stronę.

Marya blada i drżąca z przestrachu zwróciła się ku nieznanemu swemu wybawcy, i ujrzała jakiegoś gentlemana, mniéj więcéj w wieku Wilfrida, z piękną i szlachetną twarzą, i pełną dystynkcyi postawą.

— Dziękuję panu, dziękuję, rzekła drżącym głosem. Nie sądziłam aby wiatr był jeszcze tak silny.

— Zechciéj pan przyjąć moje najszczersze podziękowanie, zawołała miss Bordillion z wyrazem najżywszéj wdzięczności, ściskając rękę młodego nieznajomego, ocaliłeś jéj pan życie!.. A ty Maryo... płaczesz? o nie dziwię ci się wcale.

— Nie podziękowałaś nawet panu, mówiła daléj miss Bordillion, któréj przestrach nie dozwolił dosłyszéć słów Maryi; wszakże uchronił cię od nieochybnéj śmierci!

— Nie o tyle jeszcze nieochybnéj jak ta od któréj mnie wyzwolono dziś w nocy, rzekł z uśmiechem Lydney, a gdy Marya zwróciła na niego załzawione jeszcze oczy, a miss Bordillion pytające spojrzenie, dodał: Byłem pasażerem na tym nieszczęsnym statku, i należę do małéj liczby tych którym łódź ratunkowa zdołała ocalić życie.

— Czy być może! zawołała miss Bordillion; mówiono nam że uratowano tylko kilka osób z osady i jakiegoś pana w późniejszym wieku.

— Tak, ale prócz nich mnie także. Gdyby nie jakiś młody człowiek, który, jak mi powiedziano później, objął dowództwo na łodzi i przykładem swoim pociągnął kilku majtków, bylibyśmy zginęli wszyscy. Chociaż bardzo jeszcze młody, dał dowody większéj energii i odwagi niż starzy i przyzwyczajeni do niebezpieczeństw marynarze. Muszę dowiedziéć się gdzie mieszka, i podziękować....

— Ja mogę panu powiedziéć kto to jest!... Mogę pana zaprowadzić do niego, przerwała Marya. To mój brat... mój dobry, kochany brat, Wilfrid Lester.

— Lester? tak, przypominam sobie teraz że go tak nazywano.

— Jestem miss Bordillion, odezwała się Małgorzata, blizka krewna Wilfrida Lester.

Czy nie zechcesz mi pan powiedziéć swego nazwiska?

— William Lydney.

— Po kilku minutach rozmowy zdawało się każdéj z tych trzech osób że znają się już dawno.

Wkrotce i Wilfrid Lester ukazał się na skalistém wybrzeżu. Dwaj młodzi ludzie zamienili serdeczne uściśnienie ręki.

„Dziękuję panu nietylko za siebie, rzekł z uczuciem Lydney, ale i w imieniu drugiego jeszcze pasażera któremu także uratowałeś życie. Gdyby nie leżał chory w Gospodzie marynarskiéj, pośpieszyłby sam wynurzyć panu swoją wdzięczność.

Miss Bordillion uwiadomiła Wilfrida od jakiego niebezpieczeństwa pan Lydney uratował Maryę.

— W takim razie, odezwał się Wilfryd wesoło, oddałeś mi pan piękne za nadobne. Jeżeli ja uratowałem panu życie, to pan uratowałeś je mojéj siostrze, i tym sposobem dług został spłaconym.

— O! nie: ja inaczéj się na to zapatruję, odpowiedział Lydney wstrząsając przecząco głową. Nie chcę się jednak teraz sprzeczać o to z panem, ale późniéj wrócimy jeszcze do tego przedmiotu.

Wiatr znów się zaczął wzmagać, i Wilfryd namówił Maryę i miss Bordillion aby wróciły do domu. Małgorzata odchodząc dała swój adres panu Lydney i prosiła aby ją odwiedził. William Lydney uścisnął szczerze jéj rękę.

„Nie omieszkam, rzekł z wyrazem szczeréj wdzięczności i patrząc na Maryę, korzystać z łaskawego pozwolenia.

Kiedy przechodziły przez miasteczko, pan Minn, krawiec stojący przed sklepem, spostrzegł je i przebiegł na drugą stronę ulicy aby je powitać. Był to człowieczek mały, chudy i bardzo gadatliwy. Odkąd jeden z rozbitków obstalował u niego ubranie, pan Minn mówił już tylko o wczorajszéj burzy i rozbitym okręcie, jak gdyby te wypadki dotyczyły go osobiście, i z dumą opowiadał każdemu kto go chciał słuchać, że robi cały garnitur dla pana Lydney.

„Nie chodzi mu wcale o cenę, rzekł do miss Bordillion, i kazał abym mu zrobił co może być najwykwintniejszego. A jak zalecał aby krój był piękny! Nigdy jeszcze nie brałem miary równie miłemu i uprzejmemu gentlemanowi! Choć na pierwszy rzut oka trudno domyślić się tego; ma dumną postawę.

— Na mnie nie zrobił takiego wrażenia, panie Minn, rzekła miss Bordillion; widziałam tylko że jest piękny i ma w całéj postawie wiele szlachetności i pańskości.

— O! nie mówię tego bynajmniéj o wyrazie jego twarzy, bo trudno byłoby znaléźć milszego, ale, jak pani wiadomo, wielcy panowie mają w sobie zawsze coś dumnego. Naprzykład lord Dane... Jeżeli obstaluje ubranie, to chciałby je miéć natychmiast prawie, tak że przy największéj usilności nie można mu oddać dość prędko... Zaraz paniom pokażę nazwisko.

Pan Minn pobiegł do sklepu, i powrócił z wielką księgą, a otworzywszy ją wskazał palcem znajdujące się tam parę wierszy nakreślone jego własną ręką. Rzuciły na nie okiem i przeczytały: Pan William Lydney, w Gospodzie Marynarzy.

Zaledwie pan Minn odszedł, spotkały pana Lester. Ukłonił się tylko miss Bordillion któréj okazywał ciągle jakąś niechęć od czasu ożenienia się Wilfrida, i zamierzał iść daléj, ale Małgorzata zatrzymała go, chcąc mu opowiedziéć jakiemu wypadkowi o mało co nie uległa Marya. Ona mu zawdzięcza życie, rzekła, gdyby nie on, wiatr byłby ją strącił ze skały.

Pan Lester uśmiechnął się niedowierzająco, ale pomimo to zamierzał połajać córkę za nieostrożność, wtém nadszedł lord Dane i wmieszał się do rozmowy.

„Ciekawy jestem bardzo kto jest ten młodzieniec, rzekł pan Lester, boć przecie muszę mu podziękować.

— Jest to młody Amerykanin, odpowiedział lord Dane, któremu brzmiało jeszcze w uszach opowiadanie pani Ravensbird. I ten wysoki starzec którego widzieliśmy wczoraj w łodzi, jest także Amerykaninem.

— Czy to krewni?

— Nie, zaprzyjaźnili się dopiero w czasie podróży. O ile się zdaje, wszyscy prawie pasażerowie byli Yankesami. Cieszy mnie to niewymownie że ten młody człowiek stał dość blizko aby mógł panią zatrzymać, miss Lester.

— Tak, gdyby nie on nie byłaby już obecnie z nami, odpowiedziała żywo Małgorzata.

— Jakże się nazywa? zapytał pan Lester.

— Lyndon... czy coś tym podobnego.

— Lydney.

— A! prawda, Lydney; tak właśnie nazywała go żona Ravensbirda, mówiąc o nim przed chwilą Pomyślałem nawet że to dziwaczne jakieś nazwisko.

— A! ci Amerykanie miewają je często tak śmieszne! odpowiedział pan Lester odchodząc.

Dni upływały, wiatr się uciszył, a w Daneshaldzie wszystko wróciło do dawnego trybu.

Zaraz na drugi dzień po rozbiciu statku, kilku marynarzy zaczęło zbierać wszelkie przedmioty wyrzucane przez morze, i szukać między skałami o które roztrzaskał się okręt. Strażnicy celni stalina straży dniem i nocą pilnując tego co zdołali wyciągnąć na brzeg, i nie dopuszczając rabunku. Jednak dnie mijały a usiłowania nurków były prawie bezskuteczne.

Pan Lydney przebywał trzy części dnia na piaskach nadmorskich, oczekując z żywym niepokojem i gorączkową niecierpliwością, zwiększającą się z każdą prawie chwilą, aby wspomniana wyżéj szkatułka została wyrzuconą przez fale lub znalezioną przez nurków.

Pewnego dnia Wilfrid spotkawszy go nad morzem zawołał:

„Doprawdy, Williamie, możnaby sądzić że w téj szkatułce znajduje się cały twój majątek. Czy na pełniłeś ją złotem?

— Nie ma w niéj ani złota ani banknotów, ale zawiera w sobie nader ważne papiery i dokumenta; tak ważne, że właściciel nie mógłby ich zastąpić innemi.

— Właściciel? więc ona nie jest twoją własnością Wiliamie?

— Nie, była tylko powierzoną mojéj opiece, i dla tego tém więcéj idzie mi o nią.

— Czy w razie gdyby zaginęła, szkoda byłaby niepowetowaną?

— Nie wiem doprawdy, może niektóre papiery możnaby zastąpić, ale inne!... Wolę nie myśléć już o tém.

— Sądzę jednak że bardzo trudno liczyć na to aby się znalazły.

— Prawda, ale to już leży w mojéj naturze że nie łatwo się zniechęcam, i jakieś przeczucie mówi mi żeby nie tracić nadziei. Wyciągnięto już kilka kufrów i szkatułek większych niż moja.

— Więc ta nie jest wielka?

— Nie. Nie ma więcéj nad cztery stopy w kwadrat, tylko jest ciężka.

— Zapewne nieprzemakalna.

— O! ma się rozumiéć.

Zbliżyli się aż do miejsca w którém pracowali nurkowie i zaczęli oglądać przedmioty wyrzucone na brzeg ostatnim przypływem: leżała tam belka, kawały drzewa, baryłka z soloném mięsem, łańcuch złoty, neseser podróżny, pugilares, kilka pak. Przez chwilę zdawało sie że wydobywają z wody małe dziecko, ale była to tylko wielka woskowa lalka, w różowéj sukni przybranéj koronką. Niestety! jéj mała właścicielka leżała teraz równie nieruchoma na dnie morza.

Wyciągnięto nowy jakiś przedmiot, i Lydney przysunął się szybko aby przyjrzéć mu się bliżéj.

„Czy dostrzegłeś ją pan? zapytał strażnik zbliżając się do niego z pełną życzliwości ciekawością. Wyciągają tam jakąś pakę czy szkatułkę, ale zdaje mi się że musi być znacznie większa od téj którą mi pan opisał.

William Lydney wstrząsnął głową z wyrazem zniechęcenia.

— Nie, rzekł, to jeszcze nie ona.

Wziął Wilfrida pod rękę i poszli ku Danesheldowi. Szczera przyjaźń łączyła już tych dwóch młodych ludzi, spotykali się często i spacerowali razem, ale nigdy Wilfrid nie prosił do siebie pana Lydney. Choroba żony służyła mu za wymówkę, ale w rzeczywistości całe urządzenie jego domu zdradzało taką nędzę, że wstydził się wprowadzić kogoś obcego.

Pan Lydney bywał dotąd tylko w domku na skalistém wybrzeżu. Korzystając z zaproszenia miss Bordillion, oddał jéj wizytę zaraz nazajutrz, i wkrótce stał się tam prawie domowym, bywał po dwa lub trzy razy na dzień, wchodził i wychodził bez ceremonii. Spotykał się często z Maryą Lester, a niekiedy nawet odprowadzał ją do domu.

Zbliżał się jednak czas w którym miss Bordillion miała gorzko żałować, że weszła w tak ścisłe stosunki przyjaźni z człowiekiem całkiem jéj nieznanym, i o którego przyszłości nic nie wiedziała. Tém jedynie mogła się tłomaczyć, że pan Lydney był człowiekiem światowym, wykształconym, prawdziwym gentlemanem; że w jego zachowaniu i powierzchowności było coś nader pociągającego i sympatycznego, i że dała się złudzić temi pozorami. Tém przynajmniéj starały się usprawiedliwić jéj nieprzezorność życzliwe jéj osoby.

„Jak długo jeszcze zamierzasz bawić w Danesheld? zapytał Wilfrid pana Lydney, kiedy dochodzili do Gospody Marynarzy.

— Nie ruszę się ztąd dopóki nie odzyskam mojéj szkatułki. Nie mogę bez niéj wyjechać.

— W takim razie, możesz obrać tu stałe pomieszkanie, pomyślał Wilfrid.—Jakże się ma stary twój przyjaciel? zapytał, kiedy pan Lydney wchodził już do oberży.

— Pan Home? lepiéj, ale jeszcze nie zupełnie dobrze. Musi to być jakaś chroniczna choroba. Dotąd jeszcze nie wychodzi ze swego pokoju.

— Bądź zdrów. Życzę ci szczęścia przy dalszém poszukiwaniu, rzekł Wilfrid odchodząc.

Zofia spostrzegła pana Lydney, a że jak wiemy nie pomijała żadnéj sposobności do rozmowy, i teraz także wyszła na jego spotkanie.

„Jakże się powiodły poszukiwania? zapytała.

— Źle, ale nie tracę jeszcze odwagi i nadziei.

— Pan Home pytał się już dwa razy czy pan nie powrócił. Krawiec Minn był u niego przed chwilą.

Niewzruszona nadzieja Williama Lydney nie miała być zawiedzioną. Kiedy nazajutrz bardzo rano przybył nad morze, spostrzegł że nurkowie wynoszą na piasek jakiś przedmiot. Strażnik Michał był właśnie na służbie, i przypatrywał im się pilnie.

— Czy to pana szkatułka? zapytał.

Odpowiedź była niepotrzebną. Twarz pana Lydney wyrażała tak szczerą radość że nie podobno było wątpić że znalazł nareszcie przedmiot tak upragniony. William Lydney był tak uszczęśliwiony, że nie zważając na ciężar szkatułki, odebrał ją sam z rąk nurków.

„Więc to ta sama o którą panu tak chodziło, odezwał się jeden z nich, kiedy Lydney prędzéj upuścił niżeli postawił na piasku swój ciężar.

— Tak, ta sama... O! możecie być pewni, moi przyjaciele, że otrzymacie sowite wynagrodzenie.

Była to szkatułka lakowa, mająca blizko cztery stopy kwadratowe, jak to już powiedział pan Lydney na środku wieka znajdowała się cyfra V. V. V. a nad nią krzyż Maltański; wszystko wysadzane złoconemi gwoździkami. Michał prawie równie był zadowolniony jak pan Lydney, zbliżył się aby ją obejrzyć z blizka. Od dnia w którym młody podróżny wręczył mu, w imieniu pana Home, dość znaczną sumkę za pożyczenie płaszcza, Michał przywiązał się szczerze do niego.

„Ale to nie pana cyfra, zawołał.

— Ja też nie utrzymuję bynajmniéj że moja, odpowiedział śmiejąc się Lydney.

— Jednak szkatułka należy do pana?

— Bynajmniéj. To jest, obecnie należy do mnie, ale w ten sposób jedynie że mi została powierzoną, i że włożono na mnie obowiązek abym nad nią czuwał; zupełnie tak, dodał wesoło, jak ja powierzam ci ją teraz panie Michale. Zostawiam ją pod twoją opieką, a sam udam się do Ravensbirda, aby przysłał po nią wózek lub też ludzi z tragami. Pilnuj jéj dobrze bo tego warta.

— Może pan być spokojny, rzekł Michał z uśmiechem. Wszakże to moje rzemiosło stać na straży, i tém się jedynie zajmuję. Znajdzie ją pan nie poruszoną na tém samém miejscu gdzie stoi obecnie; nikt jéj tu nie poruszy.

Omylił się poczciwy Michał!

Zaledwie pan Lydney oddalił się drogą wiodącą ku Danesheld, przybył nad morze lord Dane, w myśliwskim stroju. Strzelec jego pojechał już naprzód ze strzelbą i psami, a jego wielmożność zboczył nieco z drogi: aby, jak to czynił codzień, dowiedziéć się o skutkach poszukiwań czynionych przez nurków.

Michał, wierny swemu przyrzeczeniu czuwał nad uratowanemi przedmiotami, ale najgłówniéj nad szkatułką.

„Więc to już wszystko! zawołał lord Dane z zadziwieniem. Sądziłem że uratowano najmniéj połowę ładunku. Chłopiec, zwany Shad, o ile mi się zdaje, przybiegł do mnie przed chwilą z wiadomością że cały brzeg morza jest pokryty wyciągniętemi z wody przedmiotami!

— O! wielki to łotr, zawołał Michał. Byłem zmuszony wypędzić go ztąd; ma takie chwytliwe ręce że wszystko przylgnęłoby do nich gdyby go nie pilnować. Nie milordzie, nie wiele znaleziono, i nie sądzę aby dalsze poszukiwanie przyniosło znaczną korzyść. No! wyciągnęli przynajmniéj z wody tę szkatułkę.. milord już wie zapewne szkatułkę o którą ciągle troszczył się tak bardzo ten młody pan! A! trzeba mu oddać sprawiedliwość, że ani na chwilę nie stracił nadziei.

— Jaki młody pan? Co za szkatułka? zapytał lord Dane, któremu całkiem nieznane były szczegóły dotyczące lokatorów Gospody Marynarzy.

— Ten młody pan, milordzie, który został uratowany przez łódź ratunkową i który mieszka teraz u Ravensbird'a. Tak się troszczył o swoją szkatułkę jakby była napełniona sto-funtowemi biletami. Szczęściem, znaleziono ją dziś rano. Stoi tam, milordzie.

Lord Dane odwrócił się i zobaczył stojącą o kilka kroków szkatułkę. Wpatrywał się w nią przez parę minut. Michał nie mógł wątpić o tém, że było w niéj coś takiego, co zwróciło szczególniejszą uwagę lorda, bo stanął jak skamieniały. Następnie zbliżył się do szkatułki, pochylił się nad nią, probował ją podnieść, po tém potrząsnął nią, a nawet usiłował otworzyć. Wyglądał zupełnie jak ciekawe dziecko przyglądające się nowéj zabawce; zdawało się że byłby ją chętnie zdruzgotał, aby przekonać się co jest we środku.

„Do kogo należy ta szkatułka, Michale?

— Do młodego Amerykanina, milordzie, któremu pan Wilfrid Lester uratował życie. Bardzo miły i uprzejmy młodzieniec. Nazywa się Lydney.

— Lydney... Lydney? A! słyszałem już to nazwisko, rzekł lord Dane... Lydney! powtarzał w myśli, Lydney!... nie przypominam sobie abym kiedy znał kogoś noszącego to nazwisko... I to pan Lydney zgłosił się po tę szkatułkę?

— Tak, milordzie. O! nie mało nakłopotał się o nią. Litery na wieku nie stanowią jego cyfry, rzekł Michał, widząc że lord wpatruje się bacznie w złocone gwoździki; zwróciłem nawet jego uwagę że ta cyfra nie zgadza się z jego nazwiskiem, na co odpowiedział mi żartobliwie, że nie myśli temu zaprzeczać. Poszedł po wózek lub tragi, aby to przewieźć do Gospody Marynarynarzy.

Lord Dane przyjrzał się innym leżącym na piasku przedmiotom równie uważnie jak szkatułce, a następnie zapytał Michała.

„Czy tu są jeszcze jakieś inne rzeczy, należące do niego?

— Nie milordzie. Mówił że zatonęło mu bardzo dużo rzeczy, ale jak się zdaje strata ich nie wiele go obeszła. Niepokoił się za to bardzo o tę szkatułkę.

(d. c. n.)

Opis do N. 4.

(Dokończenie).

N. 33. Suknia ze stanikiem z baskiną frakową.

Stanik ten ma z przodu baskinę ściętą bawetowo, z tyłu zaś znacznie przedłużoną i ozdobioną dwoma ranwersami, rozdzielonemi plisowaniem zebranem u góry sutą kokardą, które przy sukni czarnej kaszmirowej dane z faille.

N. 35. Sukienka princesse dla małej dziewczynki.

Z materyału wełnianego piaskowego koloru, przybrana bronzowym aksamitem; plastron z przodu kraje się w całej długości, dalsze części przodów i plecy przykrojone są krócej i dopełnione oddzielnem fałdowaniem. Jak to wskazuje ryc. 35 przody składają się naprzemian z plis wełnianych i aksamitnych po 6 cent. szerokich, poddanych podszewką, u dołu wyciętych w zęby, podszyte plisowaniem 8 cent. szerokiem.

N. 40—41. Teka na krawaty męzkie.

Tekturowa teka 35 cent. długa, 25 szeroka, oklejona szarem płótnem i oszyta z brzegów skórką, służy do chowania krawatów męzkich. Na klapie zamykającej tekę dany medalion odrobiony sznureczkiem złotym dwojakiej grubości, na tle z kolorowego atłasu lub czarnego aksamitu, podług ryc. 41 załączającej deseń w naturalnej wielkości.

N. 46—49. Ręczniki i serweta ze szlakami.

Ręcznik przedstawiony na ryc. 46 ozdobiony jest szlakiem naśladującym siatkę gipiurową, a wyszytym na nowego rodzaju tle tkanem ażurowo w krateczkę jak siatka. Ażurowa ta tkanina od niedawna dopiero jest wyrabianą; ułatwia ona wykonanie różnych szlaków gdyż zastępuje nudne i wiele zabierające czasu wyciąganie nitek na kratki ażurowe. Na rycinie 49 podajemy w zmniejszeniu deseń na szlak w którym kontury wyszyte są bawełną N. 8, arabeski zaś zapełnione są ściegiem zwanym point d'esprit, nićmi N. 40. Rycina 47 załącza ręcznik ze szlakami tkanemi fabrycznie, ozdobionemi wyszyciem krzyżykowem kolorową bawełną. Serweta z kanwy Jawa którą podajemy na ryc. 48, wyszywana jest w pasy i ozdobiona szlakiem ze ściegu krzyżykowego podług wzorów jakie znajdują się nie ledwie w każdym N-rze Tygodnika.

Opis do N. 5.

N. 1 — 3. Strojne ubrania domowe.

N. 1. Sukienka princesse dla małej dziewczynki.

Model sukienki z błado niebieskiego kaszmiru, był suto przybrany białą nicianą koronką, z której wstawki naszyte na przodach, dochodziły do bardzo szerokiej falbany plisowanej w duże fałdy i naszytej wstawką i koronką w sposób wskazany na ryc, 1. Brzegi falbany z tyłu schodziły się pod kokardą i szarfami z kaszmiru, oszytemi także wstawką i koronką. Kołnierzyk płócienny haftowany.

N. 2—3. Ubranie z vêtement. Krój vêtement na arkuszu z formami Nr. II Fig. 6 — 11.

Rycina 2 — 3, przedstawia z tyłu i z przodu ubranie odrobione z czarnego indyjskiego kaszmiru i materyi jedwabnej. Jedwabna spodnica ogarnirowana dwoma drobno plisowanemi falbankami, z których górna środkiem przestębnowana jest z kaszmiru. Przód vêtement zapinanego z boku, kraje się najpierw gładko z muślinu, podług Fig. 6, na takowym naszywa się od dołu trzy części garnirunkowe zachodzące jedne na drugie, zakończone patkami przecinanemi, 13 cent. długiemi; miary długości i szerokości tych części podajemy na Fig. 6 b i c. Na Fig. 6a, oznaczone jest linją miejsce, od którego zaczyna się część drobno marszczona, zajmująca około 54 cent. długości. Drugie części przodów razem z boczkami przykroić podług Fig. 7, przy brzegach tylnych, prostych, trochę przyfałdować i przyszyć tasiemki do związywania pod brytem tylnym. Plecy podług Fig. 8 i 9 przykrojone i podług odpowiednich znaków zeszyte z vêtement, trzeba od dołu zmarszczyć i w sposób na ryc 2 wskazany, przewiązać węzłem i zakończyć puklem i końcem z materyi. Tylny, prosty bryt vêtement (Fig. 11) jest w górze sfałdowany, w wązki pasek wszyty i do pleców od spodu przy długiej baskinie przyszyty, a z boków podług krzyżyków i punktów w dwa pukle podpięty, tak żeby od dołu nad przody 23 cent. wystawał. Kokardy ze wstążki i proste linje stębnówek, stanowią przybranie vêtement.

N. 4. Czepeczek negliżowy.

Formę stanowi trójkąt z białego sztywnego tiulu, którego brzegi proste mają 20 cent. długości. Kawałek muślinu mający 36 cent. długości a 12 cent. szerokości, w obydwóch końcach poprzecznych, skośnie do 24 cent. ścięty, w koło koronką 3—4 cent. szeroką oszyty i wzdłuż w 4-ry fałdy złożony przykłada się dłuższym brzegiem do przodu trójkąta, a z drugiego brzegu zakłada w środku w fałdę, ażeby gładko przystawał do trójkąta. Na wierzch daje się kawałek muślinu 26 cent. długi a 8 szeroki, w końcach w ząb zakończony, w koło plisowaną koronką oszyty i upięty w sposób na ryc. 4 wskazany. Przód garniruje się riuszą z crêpe-lisse, a do ubrania służy wstążka atłasowa na dwie strony 3 cent. szeroka.



N. 1. Sukieneczka dla małej dziewczynki. N. 2—3. Suknia vêtement. Krój na arkuszu Nr. II, Fig. 6—11.

N. 5. Kapotka dziecinna. Krój N. IX Fig. 39 do 41.

Ciepły, dogodny kapelusik robi się z białego kaszmiru; w główkę przykrojoną skośnie daje się sztywny muślin, wyszywa się deseń krzyżykowy kordonkiem, z brzegu zaszywa się fałdki na formie oznaczone, daje cienki drucik z przodu, a dla ciepła dodaje się cieniutko watowaną kaszmirową podszewkę, nakoniec brzeg obejmuje się wązką pliską. Rondko i karczek kraje się także skośnie na muślinie i podaje podszewkę watowaną Do przystrojenia służy riusza i kokardy z wązkiej atłasowej wstążki, a rondko podgarnirowane sutą riuszą z tiulu oszytego brzeżkiem koronkowym.

N. 8 — 9. Szlafrok ranny ozdobiony szlakiem haftowanym. Krój podług ryc. 10 i 11.

Niebieski kaszmirowy szlafrok, podszyty lekko watowaną podszewką, zdobi szlak haftowany różno kolorową włóczką angielską i „crevel,“ na białym kaszmirze. Ryc. 9 przedstawia w naturalnej wielkości szlak do przodów i rękawów; do wykładanego kołnierza daje się połowę szlaku. Rodzaje ściegów dokładnie są wskazane, a kolory dobrać podług gustu.

N. 10—11. Szlafrok ranny formą princesse, któren upiąć można jako vêtement. Krój N. I Fig. 1 do 5a.

Formę podaną na Fig. 1 do 5 trzeba podług miary, w sposób wskazany na Fig. 1a—5a, od dołu przedłużyć. Rycina 11 przedstawia taki szlafrok z popielatej flanelki, przerabianej w drobne niebieskie nitki; mankiety zaś 12 cent. wysokie, kieszenie 14 cent. wysokie a 16 szerokie, kołnierz i ranwersy są z szafirowego aksamitu, haftowanego niebieską filozelą. Na ryc. 10 podajemy szlafrok jasno bronzowy, w drobne ciemniejsze prążki, ubrany aksamitem ciemno bronzowym i upięty jako vêtement na krótkiej sukni. Do podpięcia daje się tylko w odpowiednich miejscach na szwach bocznych guziki i pentelki, których przyszycie dopasować podług figury, a przodów nie zapina się od dołu.

N. 12 — 14. Princesse z wstawioną oddzielną częścią spódniczki, dla panienki lat 11—13. Krój podług ryc. 28—29 w N-rze 46 z roku przeszłego.

Model sukienki do ryciny 12—14 odrobiony był z popielatego wełnianego materyału; do pleców dodaje się u dołu brycik prosty fałdowany, mający 21 cent. długości a 88 szerokości, zaś przody i boczki zdobi wązka plisowana falbanka i 12—15 cent. zajmujące zakłady poprzeczne ułożone z bryta prostego. Między plisowaniem i częścią fałdowaną dana jest pliska skośna 3 cent. szeroka, naszyta kilka razy sutaszem, którym także ozdobione są plecy, kołnierz, mankiety i kieszonki. Ryc. 13 przedstawia sukienkę do której u dołu dodana jest część spódniczkowa w koło jednakowo fałdowana, mająca 30 cent długości a 400 obwodu, w górze zakończona szarfą 50 cent. szeroką, z przodu w 3 poprzeczne fałdy ułożoną, z boków przepiętą patkami 12 cent. długiemi a 4 szerokiemi, z tyłu przewiązaną w zręczną kokardę z końcam

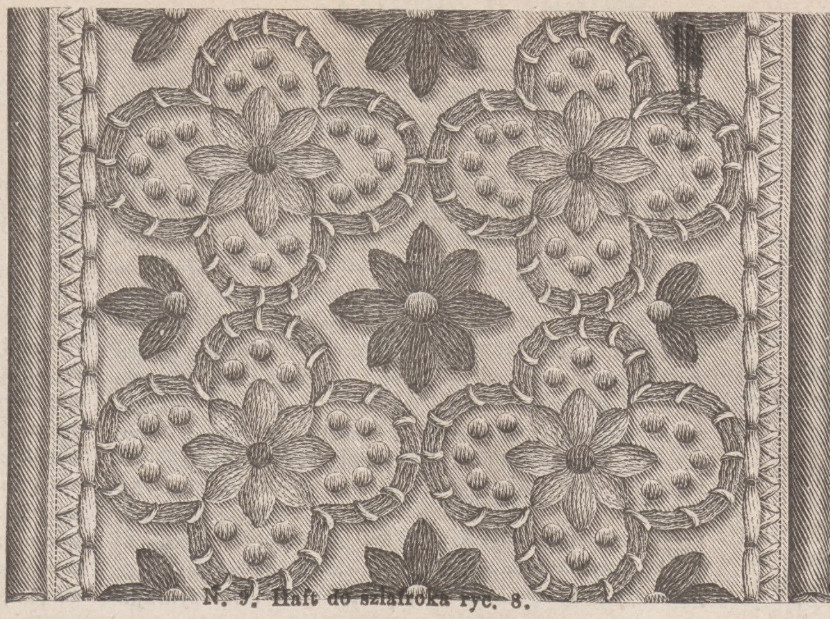


N. 4. Negliżyk muślinowy.

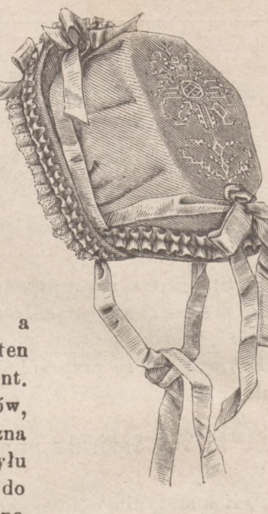
Model sukienki odrobiony był z czerwonawo bronzowego wełnianego materyału, z wypustkami jedwabnemi i złotemi guziczkami. Do przodów dodaje się w krajaniu na wązkie zakładki.

N. 15—16. Koronki robione na tiulu.

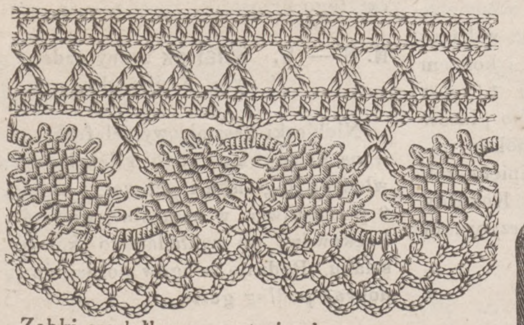
Rycina 15 przedstawia koronkę robioną na gęstym tiulu francuzkim, nićmi płaskiemi dwojakiej grubości, a ryc. 16 koronkę na rzadkim, dobrym brukselskim tiulu wywodzoną i dzierganą bawełną do haftu średniej grubości, z kratkami robionemi nićmi koronkowemi. Obiedwie można także robić pełą kolorową z dodaniem nitki złotej, na tiulu czarnym lub białym jedwabnym.



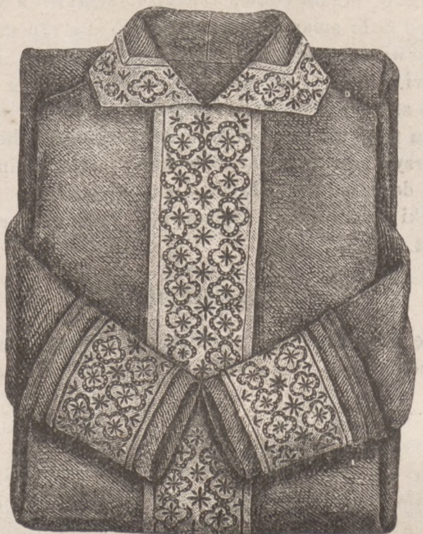
N. 9. Haft do szlafroka ryc. 8.



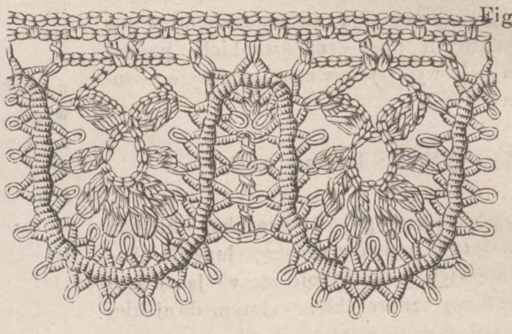
N. 5. Kapotka dla małych dzieci. Krój na ark N. IX Fig. 39—41.



N. 6. Ząbki szydełkowe z tasiemką medaljonową.



N. 8. Szlafrok odrobiony haftem. Patrz ryc. 9.



N. 7. Ząbki szydełkowe z mignardise.

N. 19. Kaftanik ranny flanelkowy. Krój Nr. VIII Fig. 34 — 38a.

Bronzowy flanelkowy kaftanik na modelu ubrany był koronką białą nicianą i flanelką popielatą. Do prawej strony przodu przyszywa się plastron przykrojony podług Fig. 34 i założony w kontrafałdy, które zaszywają się w gorze, a od dołu puszczają luźno. Plastron przykrawa się z flanelki popielatej, a w odstępach między fałdami, naszywa się paski bronzowe 6 cnt. szerokie, 10 cent. do dołu nie dochodzące. Przy lewej połowie przodu daje się guziczki a przy plastronie krytą listewkę z dziurkami na które kaftanik zapina się niewidzialnie. Wykrój szyi obejmuje się wązką listewką, spód kołnierza kraje się z flanelki popielatej a wierzch z bronzowej w ten sposób ażeby na 3 cent. nie dochodził do brzegów, gdzie pozostaje widoczna flanelka popielata. Z tyłu kołnierz przyczepia się do listewki, z przodu zapina tylko na pentelki do guziczka przyszytego do plastronu. Rękawy ubrane pliskami popielatemi i bronzowemi. Koronkę naszyć w sposób na ryc. 19 wskazany.

N. 20 — 21. Podkładka do pisania, ozdobiona haftem sznureczkowym. Deseń na arkuszu z krojami Fig. 28.

Zwierzchnią stronę podkładki oprawionej w skórę, haftuje się na płótnie żaglowym, jedwabiem ponsowym w dwóch cieniach, a od spodu przyszywa się do niej kieszonkę. Stronę spodnią stanowi sztywna ramka skórzana, w którą włożone jest kilka arkuszy bibuły stanowiącej podkładkę.



N. 13 Sukienka dla panienki lat 11—13. Patrz ryc. 12 i 14.



N. 10—11. Szlafrok formą princesse dający się podpiąć jako vêtement. Krój na arkuszu Nr. I, Fig. 1—5a.

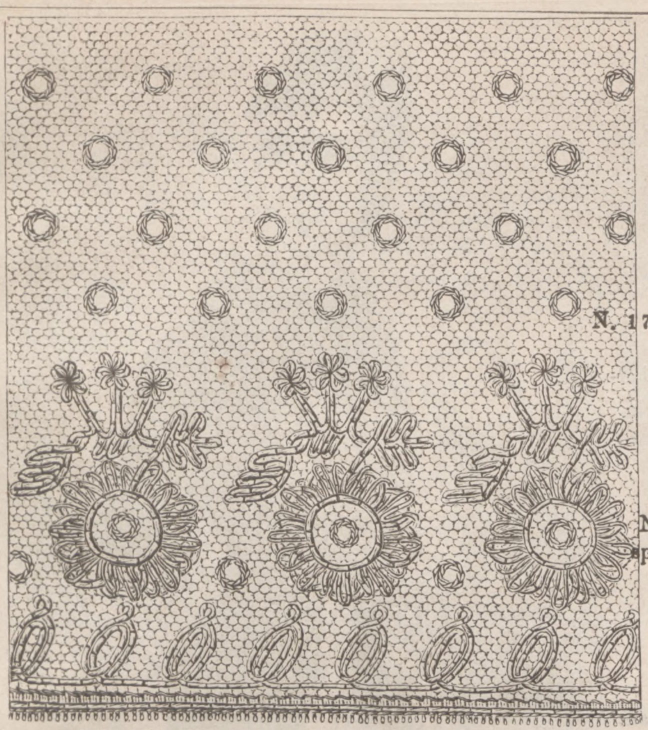
N. 2. Sukienka princesse dla panienki lat 11—13. Krój patrz r. 28—29 w N. 46 z roku przeszłego.



N. 14. Sukienka princesse dla panienki lat 11—13. Patrz ryc. 12—13.

N. 24 — 25 i ryc. 35 w N. 6. **Taboret** haftowany ściegiem krzyżowym na pluszu lub aksamicie.

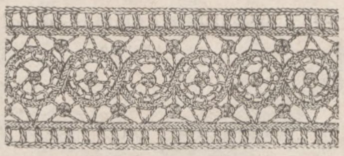
Na aksamicie lub pluszu jasnym podkłada się rzadką kanwę nicianą i odrabia deseń grubą ber-



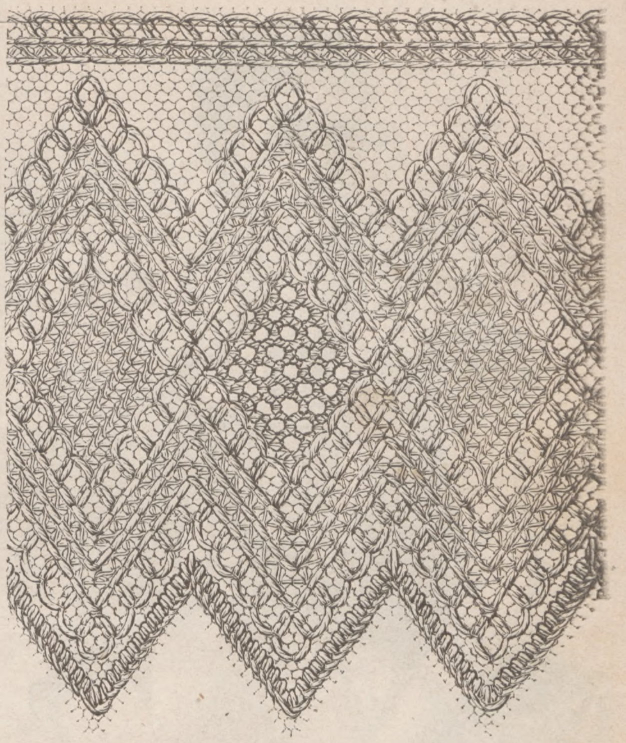
N. 15. Koronka wywodzona na tiulu.



N. 17. Wszywka szydełkowa z tasiemką medaljonową.



N. 18. Wszywka z wąziutkiej tasiemeczki spajanej pajączkami.

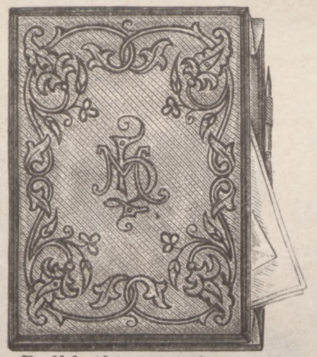


N. 16. Koronka wywodzona na tiulu.

lińską włóczką do cieniu, (np. oliwkową na tle blado niebieskiem) a kontury oszywa się sznureczkiem złotym. Pomiędzy kręconą jedwabną frendzlę tego co tło koloru, dodaje się w odstępach pojedyncze sznureczki, takie jak haft. Podobne desenie używane są także na portjery i przykrycia stołów.

N. 27—29. Buty męzkie robione ściegiem tunetańskim.

Bardzo dogodne i ciepłe buty ranne męzkie robi się z włóczki berlińskiej w ciemnym kolorze i podszywa flanelką ponsową a następnie daje do oprawy. Ponieważ wyrachowania muszą się zmieniać stosownie do wielkości nogi, najlepiej więc robotę pasować do formy dokładnie wyciętej z papieru. Cholewkę zaczyna się od górnego brzegu, w dwóch oddzielnych kawałkach, liczących po 30 — 32 oczek, odrobionych sposobem tunetańskim, 10 razy tam i napowrót, które w jedenastem obrobieniu, łączą się z sobą, a następnie stanowią wyłożenie mające rozporek z przodu. W 30 rzędach cholewki gubi się w odstępach 7 oczek; w dalszych 12-tu rzędach przybiera się w rzędzie 33 i 37 na początku i na końcu po 1 oku a z obydwóch stron oka środkowego w rzędzie 31, 33, 35, 37—50 po jednem o., zaś w rzędzie 32, 34 i 36 po dwa ocz. Jak to wyżej nadmieniono 42 rząd kończy proste środkowe brzegi buta, w rzędzie 43 zaczynają się dolne brzegi przygubia, które obrabia się jeszcze 10 razy, pozostawiając na początku i końcu pierwszego z nich po ocz. 12 w 2, 4 i 7 po o. 3, w trzeciem i piątem po 6, w 6-tem po 5, w 8 i 10-tem po 2 a w 9-tem po 3 oczy. Nakoniec zeszywa się cholewkę z lewej strony, a górne wyłożenie obrabia się słupkami i ząbkami kolorem ciemniejszym. W miejsce zwyczajnego tunetańskiego ściegu można użyć ozdobniejszych, których dokładne próbki podajemy na ryc. 28 i 29.



N. 20. Podkładka z przyborami do pisania. Patrz rycina 21. Deseń na Fig. 28.



N. 19. Kaftanik ranny z plastronem. Krój na arkuszu Nr. VIII, Fig. 34—38a.



N. 22. Ząbki szydełkowe z tasiemeczką.

N. 30 i 31. Kokarda do włosów i do krawatki.



N. 21. Podkładka do pisania. Patrz ryc. 20.

Aksamitne klonowe liście oliwkowego koloru, kwiatki jedwabne blado niebieskie, w połączeniu z 7 cent. szeroką repsową wstążką i wązką atłasową wstążeczką, haftowaną kolorowemi jedwabiami i złotem, stanowią ładną kokardę do głowy i do krawatki.

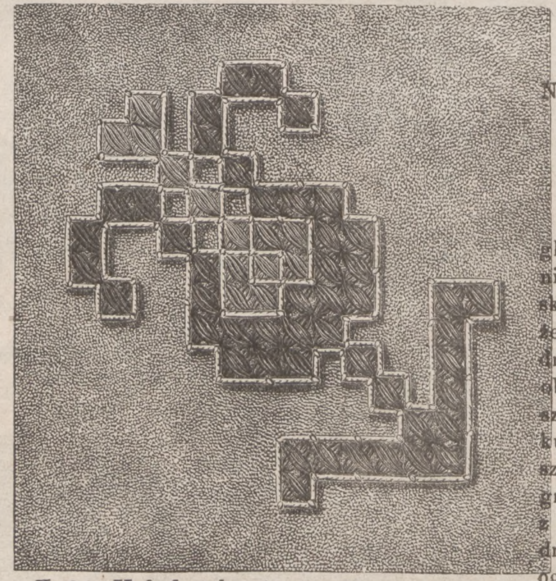
N. 32—33. Dwa wachlarze.

Może nigdy nie było takiej rozmaitości w wachlarzach jak tej zimy, największego jednak powodzenia doznają w obecnej chwili nabijane metalem albo ubierane świeżemi kwiatami, które zmienia się odpowiednio do ubrania głowy i sukni. Ryc. 32 przedstawia wachlarz z kości słoniowej oklejony atłasem, z umieszczoną na zwierzchniem skrzydełku agrafką bronzową, za którą zakłada się świeże kwiaty. Na ryc. 33 podajemy wachlarz z wiśniowego drzewa inkrustowany brylantową strzałą, zamykany na obrączkę stalową, zawieszoną na cienkim łańcuszku. Wachlarz taki zawiesza się przy pasku na agrafce i krótkim łańcuszku z 2 cent. długich klocków drewnianych połączonych ogniwkami stalowemi.

(d. n.)



N. 23. Ząbki szydełkowe z tasiemeczką.



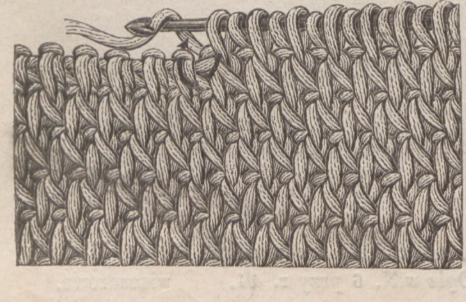
N. 24. Haft do taboretu ryc. 25.



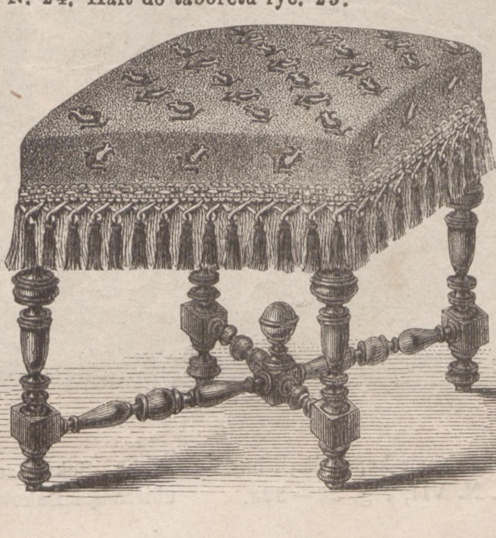
N. 26. Bucik zimowy damski.



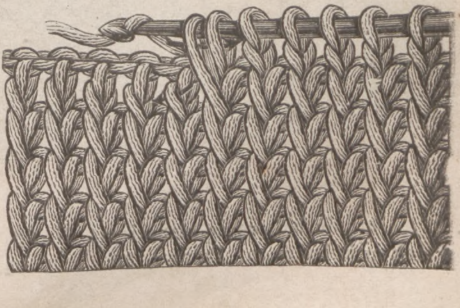
N. 27. But włóczkowy męzki robiony szydełkiem. Patrz ryc. 28—29.



N. 28. Ścieg tunetański do ryc. 27.



N. 25. Taboret ozdobiony haftem. Patrz ryc. 24.



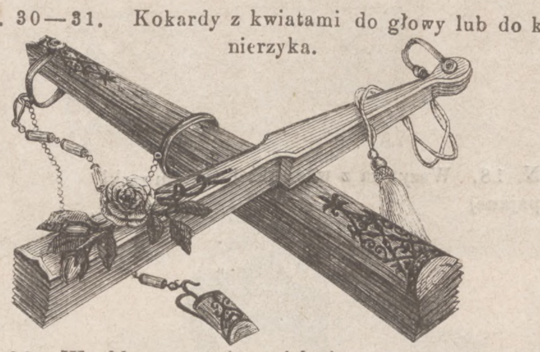
N. 29. Ścieg tunetański do ryc. 27.



N. 35. Stanik wycięty balowy z wysoko stojącym kołnierzem. Krój na arkuszu Nr. III, Fig. 12—19.

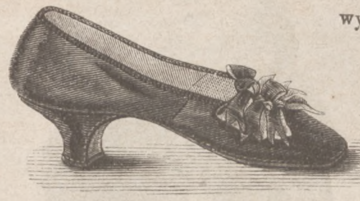


N. 30—31. Kokardy z kwiatami do głowy lub do kołnierzyka.



N. 32. Wachlarz ze świeżemi kwiatami.

N. 33. Wachlarz wykładany stalą.



N. 34. Trzewik do strojnego ubrania.



N. 36. Chusteczka muślinowa z koronką.



N. 37. Ubranie balowe ze stanikiem z wysokim kołnierzem. Patrz r. 35.

N. 38. Suknia z tuniką ze stanikiem z kamizelką i baskiną frakową. Krój na ark. N. VII, Fig. 30—32a.

N. 39. Suknia ze spódnicą suto ubieraną i frakowym stanikiem.

N. 40. Suknia z vêtement. Opis w N. 6 przy r. 44.

N. 41. Ubranie wieczorowe.